

TYGODNIK ILUSTROWANY



HANDLARZE KAUKASY

ZYGMUNT AJDUKIEWICZ

LEX HUMANA.

Jedno z naszych miast w Galicyi było w tym roku świadkiem dwóch smutnych samobójstw. Obiedwie ofiary—dwaj młodzieńcy, lat dwudziestu i dziewiętnastu; przyczyny obu kroków, jak się domyślać można, natury dość niezwyklej, bo podobno — politycznej. Mówią ludzie, że zarówno jeden, jak i drugi w swoim czasie rzucili się w nurt życia politycznego, tam szukali dróg wszystkim swoim pragnieniom, a może i ideałom. Polityka (czy stronnictwo) zawodzi ich prawdopodobnie przedewszystkiem ze swojej strony etycznej, następuje rozczarowanie, przygnębienie. Zostało im widocznie tylko jedno...

Gdyby w tym szmerze mniej czy więcej szczęśliwych domysłów była choć ćwierć prawdy, rzecz warta wyjaśnienia, oczywista nie ze strony osobistej kontroli zdarzenia, lecz ze strony zgoła ideowego zagadnienia: jaki jest właściwy stosunek polityki dla młodzieży? Co polityka daje i dać może młodzieży, a co młodzież polityce?

Że każdy prąd dziejowy, zwłaszcza bojujący, w wartkim temperamencie młodości szuka ostoji, to już należycie mogłoby wyjaśnić pytanie ostatnie, gdyby pod mianem polityki można rozumieć w zjawach społecznych owo przemożne parcie wieczyście idących nowych upragnień, nowych rozrodzeń ducha. Ponieważ zaś polityka jest tylko niestety summa poszczególnych *partyjnych* pragnień i bojów; ponieważ oddać się polityce czynnej to znaczy oddać się sprawom jednego stronnictwa wyłącznie; ponieważ dalek każde stronnictwo ma swoje proscenium i swoje złe oświecone kulisy; ponieważ wreszcie między ideałem tego surowego materiału politycznego, jakim jest młodzież, a ideałami skończonej formacji—wodzów politycznych istnieje różnica niezłej miary, a różnica widoczna zazwyczaj tylko dla wodzów, przeto nie trudno sobie wyrobić przekonanie, że w polityce takiego kształtu dla młodzieży znajdzie się czasami i rola ofiary.

Jeżeli przed kilku laty, na bankiecie publicznym, jeden z filarów „koła polskiego“ z Wiednia zupełnie spokojnie wypowiedział: „Zasada solidarności koła w imię dobra publicznego zmusza nas czasami do przygluszenia swoich osobistych sympatyj i swoich osobistych przekonań“—to te słowa mogą do pewnego stopnia służyć miarą ogólnych „zasad“ politycznych bez różnicy partyj i odcieni. A jeżeli taka zasada ma w polityce prawo życia i zastosowania, to tem samem w polityce dla młodzieży miejsca nie ma, a w każdym razie być go nie powinno.

To, co młodość czyni najszlachetniejszym okresem życia, to przecie: niedołęstwo w urabianiu kompromisu, bezwzględność, choćby śmieszna bezwzględność. Młody (prawdziwie młody) nie zdoła nawet w imię dobra ogólnego przygluszyć „swoich osobistych przekonań“, bo czuje, że przygluszyć osobiste przekonanie to zadławić na czas sumienie osobiste. A sumienie może być tylko osobiste.

Nie dziw więc, że z jednej strony słyszymy o takich, którzy śmiercią ścielą drogę do świadczeniu pokolenia, a z drugiej strony wiemy o innych, którzy instynktem dochodzą do ich prawdy i wśród swoich szepeczą nieśmiało jakieś niepojęte dla obcych protesty, skargę jakąś, ból czy wiarę.

Wszędzie, gdzie ich tylko spotkać można, jednakowi są: zasluchani w siebie, cisi, nieufni względem „obcych.“ Programu nie mają, bo ich garść zaledwie, o jednym tylko wyraźnie mówią: o potrzebie wielkiego odrodzenia uczucia, tego uczucia, które dzisiaj zgniecione leży czy pod progiem naukowego materializmu, czy przygniecione czynnym ruchem społecznych i politycznych celów.

A społeczeństwo i polityka mogą budzić namietności, ale nigdy nie zrodzą uczucia. I oto dlaczego słyszycie już dzisiaj nawet głośniejsze wymawiane hasła protestu przeciw istniejącym bogom czasu.

Poczęte w kilkudziesięciu może duszach odludnych, samotnych czy mistycznych, zaczynają wydostawać się na wierzch w postaci jawnego prądu dziejowego, który o życie nie prosi, lecz się o nie upomina.

Wiadomo, że go przyjmujemy z niechęcią. Dałoby się wynotować w tej mierze sporo namacalnych dowodów. Nie trzeba jednak udawać się do konkretnych wypadków; teoretyczna konieczność historyczna doprowadzi umysł badający do przeświadczenia o niezbedności walki. Tej walki jeszcze niema, ale nasze pokolenie będzie jeszcze słuchało głosu surmy bojowej, jak dziś słyszy cichą побudkę „przez mundsztuk.“

Do walki dojść musi, bo „nowi ludzie“ występują zawsze nazbyt jaskrawo, aby nie uzbroić przeciw sobie spokojnej, trzeźwej starości. Każda wiosna ubiera się w najbarwniejsze kwiecie, w najgorętszym słońcu się kąpie, a dopiero pod jesień szarzeje jednostajnym tonem. A w walce dwóch idei spotykają się zawsze pierś w pierś: wiosna z jesienią. Najpiękniejszą jest idea wtedy, kiedy ze stanu przeczucia wchodzi w okres świadomej konieczności istnienia. Takie samo socjologiczne prawo idei kieruje i młodą literaturą, czyli, jak reporterzy ją nazywają, modernizmem.

Nie chcę na tem miejscu mówić o wartości lub bezwartości tego kierunku, bo jeżeli o nim wspominam, to tylko dlatego, że niepodobna go pominąć przy analizie „najmłodszych“ pragnień. Wszak ze wszystkich sztuk, poezja jest najbardziej zdecydowanym objawem samowiedzy pokolenia, kategorięczniejszym nawet od wyznania programowego.

Tak, ale cała nasza młoda literatura nie wydała dotąd prawdziwie ani jednej „świadomości swojej nieświadomości“, ani jednego utworu, w którymby się całe pokolenie przejrzało, jak w zwierciadle swojej własnej duszy.

Dlatego też ciągle mówię nie o tych ludziach, którzy przyszli, lecz o tych, którzy przyjsć mają, o tych, którzy do walki się sposobiają, albo od walki się uchylają, jak owi dwaj, którzy

własną ofiarą zaznaczyli istnienie swoich ideałów.

Nieufność, z jaką się spotkają przyszli ludzie po za *niezbędnością historyczną*, o której mowa powyżej, znajdzie nadto źródło w pewnym fenomenie dziejowym.

Bo jakkolwiek tęgie jeszcze dziś pokolenie, to samo, które niedawno przecie swoje drogi deptało niestrudzoną stopą, wie doskonale, że szala dziejowa każdego prądu to tylko fala o jednym grzbiecie i dwóch płaszczyznach; jakkolwiek wie, że ta ku słońcu zwrócona płaszczyzna to nie starości, lecz młodości pora—pokolenie to jednak nie przypuszcza, że już swój pochod zgłębiło za grzbiet i na północnej półkuli spada ku dołowi. Historia nawet daje mu stosowną naukę, że taka, jak ich idea, wieki się ciągnęła.

Tak, ale dawniej ta fala pieniała się w morzu ludzkim, długą płaszczyzną wabiła pozłotę słoneczną; dziś się ludzkość rozlała w miliony płytkich koryt społecznych. Spróbuj rozmachem rzucić taką falę: jeżeli się zapieni, to o dno łóżyska rozbita na dziesiątki fal małych, fal drobnych. Zachód Europy jest dziś widownią starości prądu po dwudziestu, jeżeli nie piętnastu latach życia: ruchliwa, ale krótka fala płytkiego koryta.

Ludzkość się śpieszy, jak stary aferzysta przed śmiercią przeczuwaną, albo też jak wiecznie młody rozrzutnik młodych sił. Wybierajcie.

Zaskoczone starością pokolenie dawne nie uznaje idących następców za swoje spadkobierce dzieci, bo ci nowi zechcą burzyć ich święte ołtarze. Przy kim prawda?

Przy jednych i przy drugich. Smutno jest starcowi patrzeć, jak jego własne dziecko „depce wawrzyny, co na grobach wędna;“ bolesną jest walka młodego o swe prawa, które umiłował równie święcie, jak jego ojciec umiłowali wawrzyny mogilne.

Pokolenie ustępujące—to wszak pozytywiści? Nie zechcą więc uznać następców dla zasady prawnej; to pokolenie, które przyjdzie, a które już idzie, głosi prorocтво ducha nad materją. A gdzie czyn? — zapytają ojcowie. Jaki jest wasz czyn? Nie niesiecie czynu.

I tu tkwi błąd filozoficzny. Bo jak fizyka nie zna pojęcia zimna, tylko ciepła o rozmaitych ilościach kaloryi, tak samo filozofia powiada, że niema bezczynu, jest tylko czyn o rozmaitej jakości energii kosmicznej. Kultura uczucia może być równej wartości *czynem*, jak potęgowanie umysłowej siły.

Ale nie w tej prawdzie tkwi prawo życia młodych pragnień: racya bytu tych dążeń tkwi właśnie w *młodości*, która je niesie na swych barach.

Skoro tylko owe dążenia istnieją, to znaczy, że istnieć *muszą*, że się zrodziły nie z zewnątrz, ale z samej rdzennej istoty ludzkiego zespoliska, a wszelkie nawoływania, ostrzegania, przestrogi przeciw istniejącemu „ziemu“, mogą mieć tylko charakter dyagnozy i chwilowej poprawy.

Rozmyślnie użyłem wyrazu: „złe,” bo choćby wszystkie objawy przyjść mającego protestu były złe, to mimo to przyjdą; choćby głośiły samo szaleństwo—głosić będą. Tak czy owak, nawet szaleństwo ma równe prawo życia, jak prawo życia mają: skostnienie i strupieszalność.

Nieprzyjazne występowanie przeciw młodej literaturze i młodemu społeczeństwu jest

nie tylko samolubną nietolerancją, lecz i błędem historycznym, bo rozognianie do boju tych pokoleń, które siłą faktu mają wziąć w swe ręce narodowy spadek, wprowadza ich na błędną i niepotrzebną drogę, gdy tymczasem przyjazne porozumienie mogłoby im wiele pracy ułatwić.

Na bardziej przedmiotowe stanowisko nad to, którem się posiłkowałem przy pisa-

niu tych kilku zdań, trudno się zdobyć. Nie broniłem „idącego” prądu, bo to uczyni orsam mocą żywiołowego parcia; nie występowałem przeciw staremu, bo i on zgodnie ze swym przeznaczeniem, jeżeli czynił dobrze, to dlatego, że chciał, a jeżeli czynił źle, to dlatego, że musiał.

ADAM SIEDLECKI.

Z tygodnia na tydzień.

Wycieczka zbiorowa.

W ubiegłą niedzielę odbyła się z inicjatywy p. Fajansa ostatnia wodna wycieczka zbiorowa—tym razem na statku „Płock” i do miejsca, gdzie Narew zlewa się z Wisłą; w wycieczce tej wzięło udział przeszło 150 osób.

Podczas zabawy na lądzie, obrzucano się wzajemnie różnokolorowymi „Confetti,” które sprzedawano na statku na rzecz Pogotowia, przytem to ostatnie zyskało 14 rub. 35 kop.

Rzecz ciekawa, że wycieczki takie jak wyżej przyjęły się u nas prawie tylko z inicjatywy *interesu*; być może, iż na rok przyszły, zwłaszcza pod wpływem dziełka Janowskiego („Wycieczki po kraju”), którego wyszło już drugie wydanie, zamilowanie do podobnych wycieczek wzrośnie.

Do niniejszej notatki dołączamy widok statku „Płock.” *kp*

Konkurs stulecia.

„Kuryer Warszawski” rozesłał do uczonych, literatów, dziennikarzy i artystów listy z zapytaniem, jakie z dzieł, powstałych w w. XIX na polu nauki, literatury i sztuki polskiej, uważają za najlepsze.

Kwestyonaryusz zawiera 14 rubryk: siedm z dziedziny nauki i tyleż z dziedziny literatury i sztuki. Ponieważ jednak dział naukowy jest za obszerny, żeby go zamknąć w 7 grupach, niektóre grupy mają charakter zbiorowy. Tak np. Nr. 1. Historia zawiera pod jedną rubryką: historię polityczną, kultury, literatury, sztuki; Filozofia połączona została w jedną grupę z psychologią i estetyką (a możnaby tu dołączyć jeszcze krytykę). Nauki społeczne rozpadają się na ekonomię, statystykę, prawo, socyologię etc.

Ponieważ w każdym z tych poddziałów mogą się znaleźć dzieła wysokiej wartości, a kwestyonaryusz nie mówi wyraźnie, czy poddziały można uważać za równouprawnione rubryki, czy nie—należałoby tę sprawę wyjaśnić.

Naszem zdaniem, równouprawnienie poddziałów z rubrykami głównymi w sekcji naukowej kwestyonaryusza jest pożądane, gdyż można porównywać z sobą tylko wielkości współwymierne, t. j. dwie historie literatury, lub dwie historie sztuki, ale trudno się decydować na wybór, mając przed sobą historię polityczną, historię kultury, historię sztuki i historię literatury. To samo można powiedzieć o filozofii, psychologii, estetyce, krytyce, i t. p.

W praktyce, co prawda, te szczegółowe rubryki wysuną się naprzód z natury rzeczy, gdyż każdy specjalista uwzględni przedewszystkiem to, co w zakres jego gałęzi wchodzi, a redakcja „Kuryera” ma zamiar brać pod uwagę i notować oddzielnie „osobne zdania” specjalistów.

Tyle co do formy „Konkursu.” Co do jego istoty zaś, to uważamy pomysł „Kuryera” za szczęśliwy, choćby z tego względu, że skieruje na czas

pewien uwagę ogółu ku rzeczom poważnym i szlachetnym. Jakkolwiek bowiem wypadnie wynik plebiscytu, obudzi on niewątpliwie powszechne zainteresowanie i wywoła dyskusję nie tylko prasie, lecz i w szerszych kołach publiczności.

„Konkurs stulecia” przypomni niewątpliwie o wielu rzeczach zapomnianych i zachęci do bliższego zapoznania się z wielu znanymi tylko ze słyszenia i t. p. Słowem, pod względem „pedagogicznym” konkurs powinien przynieść dobre rezultaty. Co do wartości bezwzględnej głosowania, to jest, co do jego miarodajności krytycznej, to nie należy do tego przywiązywać zbyt wielkiej wagi, gdyż, jak wiadomo, *de gustibus non est disputandum*.

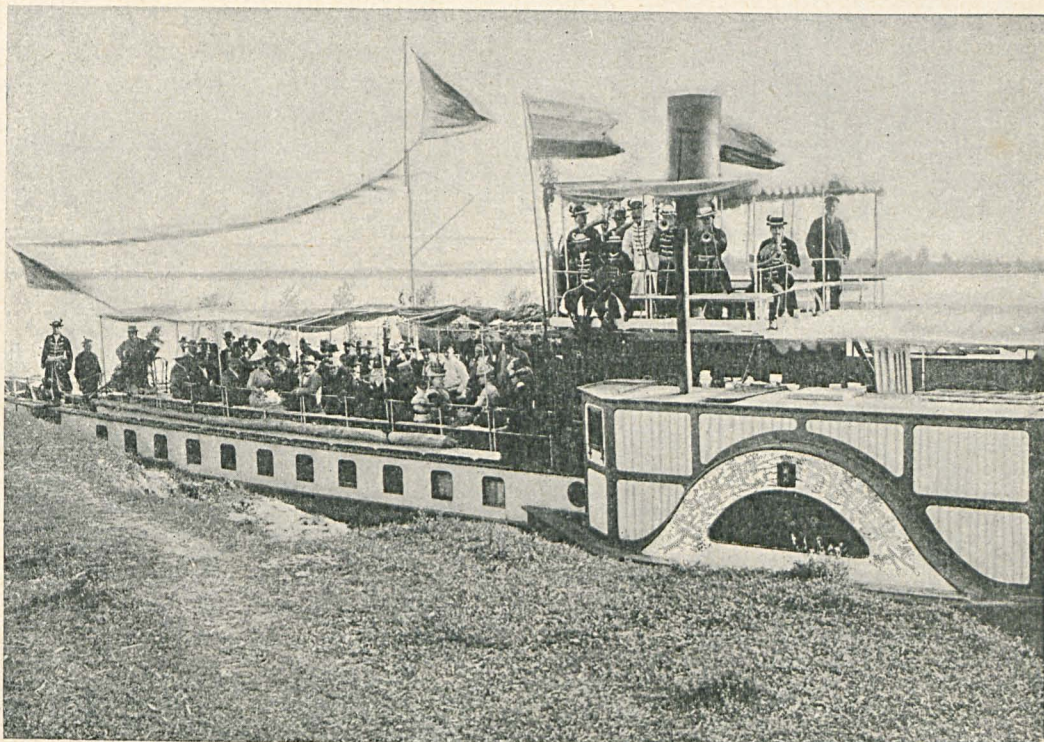
Możemy otrzymać ciekawy obraz gustów naszej epoki, a więc ważny dokument psychologiczny, ale nie miarę wartości samych dzieł, które za lat kilkadziesiąt inne będą sprawiały na widzach, czytelnikach i słuchaczach wrażenie. Wyjątek na tym punkcie będzie stanowiła tylko niewielka liczba skończonych arcydzieł, które mogą uragać fałom czasu.

W każdym razie pragniemy, żeby projekt „Kuryera Warszawskiego” znalazł poparcie u sfer, do których redakcja tego pisma się zwraca. *M.*



Hakatyzm urzędowy.

Według rozporządzenia pruskiego ministra oświaty i wyznań nauka religii w szkołach ludowych, udzielana dotychczas dzieciom polskim po polsku, odbywać się ma nadal po niemiecku.



Statek „Płock” przy brzegu.

Nowy ten zamach przewyższa bezwzględnością wszystkie dawniejsze, ponieważ godzi równocześnie w dwa kardynalne uczucia: narodowości i religii. Sama też kwestya, wywołana przez dekret ministeryalny, jest z tego właśnie powodu więcej skomplikowaną. Krzywdy, wyrządzone ludności polskiej w Prasiech w zakresie narodowym, nikogo więcej nie boją, oprócz samych pokrzywdzonych; ale samowolna wycieczka ministeryalna w dziedzinę religijną obchodzi także katolików niemieckich, reprezentowanych przez najpotężniejsze stronnictwo w parlamencie centralnym. Politycy z centrum nie chcą dopuszczać niebezpiecznych precedensów, prasa więc katolicko-niemiecka w bardzo stanowczym tonie wystąpiła przeciw rozporządzeniu ministra.

Konstytucya pruska przyznaje władzy kościelnej prawo kontroli nad nauczaniem religii w szkołach, minister więc przed wydaniem tak ważnego dekretu powinien był zapytać o zdanie arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, lecz tego nie uczynił. Ksiądz arcybiskup Stablewski upomniał się o swoje prawo, lecz otrzymał wymijającą a szorstką odpowiedź. W ten sposób powstał zatarg między władzą państwową a władzą kościelną. Nowe wydanie „Kulturkampf!”—krzyknęły dzienniki katolickie i zagroziły rządowi, że centrum potrafi z tego faktu wyciągnąć należyte konsekwencje.

Taki jest obecny stan sprawy. Ponieważ ani sejm pruski, ani parlament w tej chwili nie obraduje, niema więc — po za prasą — możliwości

wymiarkowania, jak daleko katolicy niemieccy zechcą pójść w tym zatargu z rządem. A kwestya to bardzo ciekawa, gdyż ostatnimi czasy zarazek hakatystyczny zaczął być już weiskać się i w sferę katolickiego centrum.

Skoro już mowa o hakacie, wspomnimy jeszcze, że agraryusze pruscy pokłócili się srodze z wodzem propagandy antypolskiej, v. Hansemanem, o robotników rolnych z Królestwa, którzy są gospodarzom potrzebni, a których hakatyści chcą pozbawić zupełnie prawa wychodzenia na robotę do Prus. Spór ma rozstrzygnąć walne zebranie hakaty w jesieni. S

✕

Zagadki etyczne.

Najuczciwsze i niepokalane w społecznych swych czynach jednostki dopuszczają się niekiedy drobnych przewinień, które usprawiedliwia i tłómaczy najzupełniej kazuistyka ich czujnego zresztą na hasła „wyższej“ moralności sumienia.

Puścić w kurs pieniądź fałszywy, pożyczyć książkę i nie zwrócić jej, wyciągnąć z albumu fotografię, to czyni tak zwykle, że tracą cechę przestępstw: popełniają je nieraz nasi najlepsi i najserdeczniejsi znajomi.

Zachodzą przytem czasami różne drobne powikłania, powołujące zasadę: „cel uświęca środki“ na samoobronę.

Zgłasza się do nas np. nędzarz, którego oszukano, wsunawszy mu w rękę fałszywego rubla.

Żal nam go: bierzemy od niego zły pieniądź, dając wzamian dobry, spotkawszy zaś pierwszego lepszego znajomego, prosimy o wymienienie tej samej monety na drobne.

Jeżeli X. puści ją w kurs nieświadomie, nie będzie miał grzechu—myślimy, postanawiając w razie nieudatnej próby zwrócić „wziętemu na kawał“ rubla.

Los zrzadza, iż X. wydaje go, zatem wszystko dobrze: i żebrak zyskał, i myśmy nic nie stracili na dobrym sercu, i sumienie nasze w porządku.

Czy sprawiedliwie?

Inny przykład:

Mamy przyjaciela chorego na zaraźliwe jakieś cierpienie, ludzie boją się pożyczać mu książek. Przeczytał już całą naszą bibliotekę; w czytelniku trudno o nowości. Co zrobić?

Bierzemy od znajomych powieść, którą w ich domu już poznali wszyscy, i, nie nie mówiąc, co z nią zrobić zamierzamy, niesiemy ją do przyjaciela.

Nic im nie będzie, jeżeli tylko nie dowiedzą się, kto ją czytał. Strach to główny sprawca wszelkiej zarazy, mówimy, tłómacząc sobie, że spełniamy czyn dobry.

Cel uświęca środki...

Bywają wypadki, w których moralna nasza drażliwość wystawiona jest na tak ciężkie próby, iż wybrnąć z nich zwycięsko prawie niepodobna, zaspokoiwszy bowiem z jednej strony sumienie, narażamy je na tysiące wątpliwości z drugiej.

Jak postąpiłbyś, czytelniku, np. w takim położeniu: masz list od lekkomyślnej i pustej żony twego przyjaciela, która, rozwodząc się z mężem, pragnie za twem pośrednictwem otrzymać zatrzymanie dzieci przy sobie.

Wiesz, że chodzi jej o to nie dla siebie, nie dla zaspokojenia macierzyńskich swych uczuć, lecz jedynie dla złagodzenia opinii publicznej.

Coby powiedział świat, gdyby z łatwością i dobrowolnie wyrzekła się dzieci?

Dla przyjaciela twego stanowią one kwestję bytu lub śmierci: albo, zatrzymawszy je przy sobie, będzie pracował dla nich nadal, albo też, straciwszy je, odbierze sobie życie.

Ma od roku rewolwer nabity w biurku; tyś się raz chciał wyjąć go stamtąd: nie mogłeś.

Pusta, światowa lalka, pisząc do ciebie w *zaufaniu*, jako do jedynego człowieka, któremu

wierzy, iż, mimo wrogiego usposobienia, nie wyzyska jej szczerości, zwierza ci się z różnych małżeńskich zatargów i nieporozumień w sposób tak naiwny, tak jaskrawe światło na lekkomyślność jej rzucający, iż list ten w rękę adwokata stanowiłby znakomity oręż dla obrony twego przyjaciela. Jedną jego kartkę starczy, by przyznać ojcu prawo zatrzymania dzieci.

Co robisz z tą bezmyślną, a jednak w porwie szczerzego zaufania pisaną spowiedzią?

Inna zagadka:

Pani Y., przyjaciółka twoja, zwierza ci się w wielkim sekrecie, że mąż jej ma do sprzedania akcye, którym grozi wkrótce spadnięcie na giełdzie. W chwilę potem brat twój, kuzyn, mąż lub dobry znajomy, oznajmia ci, iż traktuje właśnie z panem Y. o nabycie owych akcji i za godzinę ma iść, skończyć interes doraźnie.

Co robisz z powierzoną ci na honor tajemnicą?

Trzeci rebus:

Otrzymujesz w sklepie resztę z wydanych pieniędzy: nową, czystą i gładką pięciorubłówkę. Przyszedłszy do domu, oglądasz ją. Aliści spostrzegasz zagięty lekko rożek, a w nim pewne rozdwojenie. Podchodzisz do okna i przekonujesz się, że paperek składa się właściwie z dwóch pięciorubłówek, tak szczerlnie zlepionych, iż po wielkich wysiłkach udało ci się je rozczepić.

Co robisz ze znaną tak niespodziewanie nadwyżką, na której nie stracił nikt w sklepie, ponieważ i tam przyjęto w kasie podwójny paperek za pojedynczy?

Czwarte pytanie:

Grasz w winta. Za cienkiem przepierzeniem rozmawia dwóch mężczyzn. X. zwierza się Y-owi, że ma do obsadzenia posadę. Y. stawia kandydaturę siostrzeńca swego, popierając ją gorąco. X. zgadza się w zasadzie, prosząc, by młody człowiek zaszedł do niego do biura nazajutrz przed dziesiątą.

Zamieniasz się cały w słuch; przegrywasz, chociaż karta idzie ci dobrze.

Poznałeś X-a po głosie; chcesz pobiedz do niego, prosić, by, zamiast siostrzeńca Y-a wziął ciebie, od roku starasz się bowiem o jakieś zajęcie, a posada u X-a jest szczytem twych marzeń.

Jak tylko skończy się wint nieszczerśny, który trwa dla ciebie dziś wieki całe, pójdziesz do X-a, powiesz, jak bardzo zależy ci na miejscu u niego. Trwasz w postanowieniu tem niezłomnie i wpadasz na szlema bez atu.

Czy wolno ci wyzyskać *podsluchaną* rozmowę?

A oto jeszcze jedno zagadnienie:



Brat twój, przyjaciel, blizki sercu kolega że ni się. Z radością patrzysz na jego szczęście. Przyszła żona, rozwódka w średnim wieku, jest ideałem. Przez całe pięć lat narzeczeństwa nie zrobiła ani jednej sceny; była zawsze wierna, kochającą, dobrą i wyrozumiałą. Nie znasz rozumniejszej i „pewniejszej“ nad nią kobiety.

Aliści w przeddzień ślubu zgłasza się do ciebie dawny twój znajomy z jawnymi dowodami, iż ów niezrównany ideał był za lat swoich młodych kochanką jego kuzyna.

Czy szczęśliwy oblubieniec wie o tem?

Przypuszczam, że nie, często bowiem stawiał przed tobą cnotę i niewinność narzeczonej.

Co masz zrobić: ostrzedz zaślepieńca, zniszczyć nadzieje i marzenia jego brutalnie? czy też milczeć?

Wierzysz najmocniej, iż mógłby być szczęśliwy, pięć lat narzeczeństwa bowiem, na które patrzałeś z blizką, przekonały cię o głębokim, szczerem, pełnem poświęceń przywiązaniu młodej rozwódki dla przyszłego męża.

A jednak... błąd niewyznany może stać się zaporą tego wymarzonego szczęścia; może między mężem a żoną wznieść mur podejrzeń, zgryźliwej niewiary i żalu gorzkiego nie do przebycia.

Co zrobiłbyś w podobnym wypadku, czytelniku: ostrzegłbyś, czy nie? *civ*

✕

Posucha.

Gdyby jaki ciekawy przybysz zapytał, co się obecnie dzieje w Warszawie, należałoby chyba wspomnieć o wielkiej liczbie nadpsutych lubaszek i twardych lub ulegniętych gruszek. Przespiewa, wszy następnie zwrotkę z „Gadułów“: „O jakie dzisiaj gorąco!“—szybko przejśćby wypadło do Chińczyków, lub do kłopotów Roberta z Burami.

Dzięki boksterskim figlom dowiedzieliśmy się różnych ciekawych rzeczy o Niebieskim państwie, które zamieszkuje rasa żółta. Dowiedzieliśmy się, że Chińczycy posiadają wiele cech, jakimi się szczyci wysoka wszechświatowa kultura.

Ma ten mądry naród podwójne wagi: jedne do sprzedawania, a drugie do kupowania. Potrafi do opakowania skór brać grube powrozy, aby za konopie brać tyle pieniędzy co za rzemień. Umie w paczki towarów kłaść kamienie, sypać śmiecie, w kokony jedwabne wpuszczać ziarna śrutu, w puch z kanarków mieszać pierze z kurcząt, zaś w pióra do ozdoby służące bardzo zręcznie wsuwać druty...

Dlaczego Chińczycy tak są dumni ze swojej starej cywilizacji? Sadzę, że gdyby poznali bliżej naszych tandeciarzy i przekupniów, należących do rasy brudnej, wiele, bardzo wiele mogliby jeszcze skorzystać...

Chińczycy nie znają herbaty z wiśniowych liści, cygar kapuścianych, wydymanej ciętłiny i baraniny, syropów z sacharyną, napojów gazowych, fabrykowanych w bardzo podejrzany sposób, i smakowitych śniadań i obiadów na fryturze i margarynie. Jadają wprawdzie psy, koty i inne zwierzęta padłe naturalną, nieprzymusową śmiercią, ale to już z dobrej woli, bo mięso ze zdechłych zwierząt nie budzi w nich wstrętu.

Gdyby Chińczyk zamiast swojego wina ryżowego na ciepło, napił się naszych samorodnych i niesamorodnych napitków na zimno, kto wie, czyby próbę sprawności żołądkowej wytrzymał.

Godnym naśladowania jest przykład chińskiego władcy, który używa przejażdżki w wagonie kolei żelaznej, ale ów pociąg nie lokomotywa ciągnie, jeno wierni poddani na sznurach żółtych.

Gdyby tak na naszych drogach do pociągów pasażerskich użyto szanownych dyrektorów i naczelników ruchu, mielibyśmy bezpieczną lokomotywę. Nie byłoby zgnieceń, zderzeń, wypadnięć, obcierek i wszelakich dla głów, żeber, palców i goleni niebezpiecznych „przytrafunków...“ d



ŻYD NA CMENTARZU

JÓZEF CZAJKOWSKI

Na kresach ciepła i zimna.

2.)

Drzez zespolenie warunków sprzyjających, przy zastosowaniu środków, którymi technika dzisiejsza rozporządza, zdołano zbudować do badań naukowych piece, w których żar przechodzi 2.000 stopni, gdzie ulatnia się porcelana najtrudniej topliwa, a topi się nietylko platyna przy 1775°, lecz i iryd, przechodzący w stan ciekły dopiero w temperaturze o kilkaset stopni wyższej. Gdy zaś potężniejszy jeszcze żar osiągnąć pragniemy, nie pomoże już dalsze podsycanie ognia, korzystnie natomiast służy nam prąd elektryczny, ten osobliwy i wszechstronny pośrednik w przeprowadzaniu, przeobrażaniu i przetwarzaniu wszelkich rodzajów energii.

Gdy prąd elektryczny po przewodniku, po drucie metalowym, płynie, drut ten rozgrzewa się natychmiast, a ciepło wywiązuje się widocznie skutkiem oporu, jaki prąd w przebiegu swym napotyka. Dlatego też ilość wzbudzanego ciepła nietylko od natężenia samegoż prądu, lecz i od oporu zależy, a druty dostatecznie cienkie, pod wpływem przebiegającego je prądu, rozżarzają się i topią nawet. Węgiel gorszym jest przewodnikiem, aniżeli metal, dlatego też w lampach elektrycznych cienkie włókno węglowe rozżarza się do białości już pod działaniem prądu niezbyt silne-

go, ale znaczniejszy jeszcze opór napotyka prąd elektryczny w lampach łukowych, gdzie dwa pręty węglowe, z biegunami stosu lub maszyny dynamoelektrycznej połączone, stykają się końcami swymi i pod wpływem prądu rozżarzają w punkcie zetknięcia. Skoro zaś zatlone końce rozsuwamy, rozpalone ich cząstki odrywają się i tworzą jakby pomost oporny, przez który prąd w dalszym ciągu możliwie się przedziera, a stąd żar początkowy silniej się jeszcze wzmacnia. Jest to ognisko najgorętsze, jakie środki nasze wytwarzać są w stanie, a temperaturę jego niedawno dopiero oznaczyć należycie zdołano.

Temperatura zresztą tego łuku voltaicznego nie jest we wszystkich jego częściach jednaka; najgorętszy jest węgiel dodatni, a temperatura w tem miejscu sięga 3.600°. Pozostaje ona nadto zawsze niezmienną, jakakolwiek byłaby wielkość łuku i jakakolwiek potęga użytego prądu. Dzieje się tu jak ze wrzeniem wody, która pod danem ciśnieniem zachowuje temperaturę stałą, silniejsze zaś ogrzewanie szybkość tylko parowania powiększa; sądzą więc niektórzy fizycy, iż węgiel w łuku światła elektrycznego znajduje się w stanie wrzenia; w warunkach takich wzmożenie siły prądu, albo raczej powiększenie wykonywanej przez nie-

go pracy, podsyca szybkość jego wrzenia, lecz temperatury jego nie podwyższa. Jeżeli tak jest, to węgiel, który tak dzielnie opiera się wszelkim usiłowaniom stopienia go i którego w stanie ciekłym nikt nigdy nie widział, ulatnia się przy 3.600°, w najwyższej, dotychczas osiągniętej temperaturze.

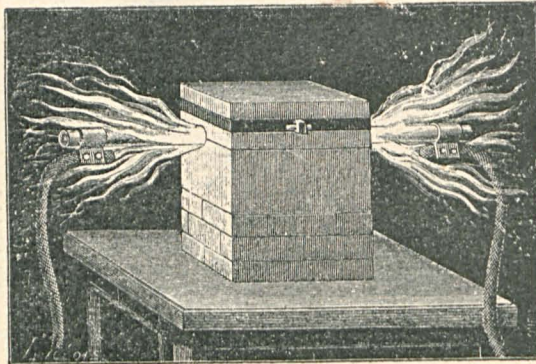
Z żaru tak potężnego już od początku stulecia dziewiętnastego korzystali dorywczo fizycy i chemicy do badań nad topliwością i ulatnianiem metali, oraz innych ciał, ale w ostatnich dopiero latach wprowadzono urządzenia, które pozwalają w wysokiej temperaturze łuku elektrycznego prowadzić doświadczenia na wielką skalę i według planu należycie obmyślanego. Budowa takich pieców elektrycznych nastrocza znaczne trudności, już choćby dlatego, że tak silnemu ogrzaniu opiera się niewielka tylko liczba materiałów, a z kilku różnych konstrukcyi najdogodniejszy jest piec Moissana, którego urządzenie wyobraża rycina załączona. W piecu tym potężny łuk elektryczny zamknięty jest w przestrzeni ciasnej, ochronionej od utraty ciepła ścianami z wapna palonego, które jest tak dobrym nieprzewodnikiem, że pokrywa wapienna na powierzchni górnej nie rozgrzewa się zgoła, nawet po kilkunastu minutach działania prądu galwanicznego; można ją wtedy unieść rę-

ką, chociaż powierzchnia jej dolna zupełnie jest stopiona i pokryta warstwą wapna ciekłego, które spływa jak woda, a jaśnieje tak silnie, że oko blasku tego znieść nie zdoła. Oprócz wapna, a niekiedy i magnezyi, w skład budowy pieca wchodzi jeden tylko materiał, węgiel mianowicie, on bowiem ze wszystkich ciał najdzielniej opiera się tak wysokiemu rozgrzewaniu. W piecu elektrycznym srebro bardzo łatwo daje się doprowadzić do wrzenia; platyna topi się w kilka minut i ulacnia, podobnie jak i złoto, wydając parę zielonawo-żółtą, z której osiadają mikroskopijne kulki metalu. Łatwo też przechodzi w parę glin, mangan, żelazo i uran, podobnie jak i krzem, pierwiastek piasku i krzemionki, wapno wreszcie i magnezya, które dotychczas były uważane za ciała nietopliwe. Metale, które dotychczas dawały się w drobnych ledwie otrzymywać okrucach, wytapiają się ze związków swoich w piecu elektrycznym szybko i w ilościach znacznych, tak, że teraz dopiero właściwości ich dobrze poznać się dają. Nowy obszar poszukiwań i dociekań stanął dla chemika otworem, zyskał metody nowe i środki potężniejsze, aniżeli marzyć o nich mogli poprzednicy jego.

Z niemniejszym też zaciekawieniem i zajęciem spogląda na doświadczenia te mineralog i geolog, stawiają mu one bowiem przed oczy warunki, w jakich wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pozostawała niegdyś ziemia, gdy jeszcze w ognisto-płynnym znajdowała się stanie, a z ciekłego i rozpalonego chaosu wytwarzały się skały i minerały. Powstawanie minerałów należało do tajemnic, które przyroda najstaranniej przed okiem zaciekawionego badacza kryje, ale obecnie tajemnica ta odsłania się z wolna, w pracowni bowiem naukowej, drogą doświadczenia, odtworzyć zdołano znaczną już liczbę minerałów, a między nimi i dyament. Wiemy dobrze, że dyament jest to tylko węgiel, węgiel skryształizowany i przezroczysty, przez spalenie go bowiem powstaje ten sam kwas węglany, co i przez spalenie zwykłego, czarnego i bezkształtnego węgla. Aby więc czarny i pospolity nasz węgiel w dyament przeobrazić, trzeba go było tylko umieścić w warunkach, które dozwoliłyby mu przybrać postać krystaliczną, rozpuścić go zatem lub stopić. Ale wobec obu tych wymagań zachowuje się dyament oporniej, aniżeli jakiegokolwiek inne ciało na ziemi; nie masz cieczy, któraby go rozpuścić potrafiła, nie sięgano do temperatur, w których stawałby się płynnym, nie umiano więc nawet rozstrzygnąć pytania: czy w przyrodzie wykrył się z roztworu, czy też z masy stopionej? czy tedy utworzył się drogą wodną, czy też ogniewą? Niedawno jednak wykryto drobne okruczki dyamentowe w aerolicie, w pewnej bryle żelaza meteorycznego, a odkrycie to uzasadniło domysł, że dyamenty pochodzenia kosmicznego powstały w ten sam sposób, co i inne minerały, w skład aerolitów wchodzące, które się niewątpliwie drogą ogniową wytworzyły. Ze spostrzeżenia więc tego zaczerpnął Moissan wskazówki do doświadczeń swych dochodzeń, w których węgiel postanowił poddać zarazem wysokiej temperaturze, jak i ciśnieniu olbrzymiemu. Posłużyły mu zaś do obu tych celów własności żelaza, które w stanie stopionym znaczną ilość węgla rozpuszcza, a w temperaturze niższej nadmiar jego wydziela, krzepnąc zaś, objętość swoją powiększa, podobnie, jak woda marznąca. Wydobywający się więc z rozpuszczenia węgiel uległ gwałtownemu ściśnięciu wskutek rozszerzania się żelaza krzepnącego, a po rozpuszczeniu masy metalicznej we wrzącym kwasie solnym otrzymano w pozostałości, oprócz węgla, wydzielonego w postaci grafitu, jeszcze bryłki skryształizowane, posiadające wszelkie cechy dyamentu, a przedewszystkiem jego twardość. Dla jubilerów sztuczne te, a niemniej prawdziwe i rzetelne dyamenty mało zapewne byłyby przydatne, są bowiem drobnych, mikro-

skopowych ledwie wymiarów; nie osłabia to wszakże naukowej doniosłości tych doświadczeń, które w znacznej przynajmniej mierze wyświetliło nam tworzenie się dyamentu w przyrodzie.

Te i im podobne badania na kresach dostępnego nam ciepła dopiero się rozpoczęły; zaledwie otwarły się wrota, ale poza nimi ukazuje się długa droga, na której głębiej, aniżeli dotychczas, przeniknąć zdołamy budowę chemiczną materii. Cały ogrom ciał różnorodnych w przyrodzie rozbił chemik na ich części składowe, wydobyl z nich siedemdziesiąt różnych substancji, które już dalej rozkładać się nie dają, i określił je, jako ciała proste, pierwiastki. Czy są to jednak ciała stanowczo pierwsze, bezwzględnie z prostszych jesz-



Piec Moissana.

cze substancji nie złożone, tego nigdy twierdzić nie mógł, przyznawał tylko, że środkom, jakie ma w swem rozporządzeniu, opiera się dalszy rozkład materii. Następczą się wszakże i mnożą świadectwa, że liczny zastęp dzisiejszych pierwiastków chemicznych powstał z kilku tylko prostszych jeszcze substancji, a może wytworzył się z przeobrażenia jednej tylko, zasadniczej materii pierwotnej, przez jakieś nieuchwytnie dotychczas skojarzenie jej cząstek, atomów. Ciepło, które do pewnego wprowadzie stopnia tworzeniu się związków chemicznych sprzyja, staje się przemożnym ich wrogiem, gdy wyższego dosięga natężenia; w silnem ogrzaniu wszystkie znane nam związki rozpadają się, rozkładają. Być więc może, że wśród żaru potężniejszego nad najwyższe dotychczas osiągnięte temperatury, uległyby dalszemu rozkładowi metale lub inne pierwiastki dzisiejsze. Żaru takiego nie napotykamy już wprawdzie w pracowni naukowej, ale istnieje on w przyrodzie.

Zakrzepła na powierzchni ziemskiej nasza bryła kryje niewątpliwie we wnętrzu swoim wysokie stopnie ciepła, pozostałość żaru pierwotnego, którym niegdyś i na powierzchni płonęła, a o którym słabo świadczą jeszcze strumienie lawy rozpalonej. Dostęp do jej potoku jest tak trudny i niebezpieczny, że temperatury lawy dotychczas dokładnie oznaczyć nie zdołano; podczas ostatniego dopiero wybuchu Etny pewien badacz włoski zdołał się zbliżyć do strumienia lawy i wtłoczyć w nią pręt platynowy, na długiej żerdzi osadzony. Z rozgrzania tego prętu obliczył, że lawa po opuszczeniu kanału podziemnego, w głębokości jednego metra, posiadała temperaturę od 1060° do 970°, ten sam zaś potok lawy, po przebieżeniu dwu kilometrów, z szybkością 80 metrów na godzinę, stygł o 200 stopni mniej więcej.

Skwar podobny byłoby trudno gdzieindziej na ziemi napotkać, po wyższe więc stopnie ciepła sięgnąć potrzeba aż do słońca. Zapomniano już o tej teorii dziwacznej, która słońcu jądro ciemne i jaśniejącą tylko powłokę przypisywała; rozumiemy teraz dobrze, że dzienna nasza gwiazda, której promienie życie i wszystką działalność na ziemi utrzymują, jest to bryła ognista i wskroś rozpalona, ale zapewne w całej fizyce słońca nie następcza się zagadnienie trudniejsze nad ocenę temperatury jego. Zmierzono starannie, jaką ilością ciepła darzy nas słońce w ciągu roku, obliczono, ile go na wszystkie strony przestrzeni świata roz-

syła, ale stąd jeszcze bezpośrednio temperatury słońca wyczytać nie można, nie znamy bowiem zależności, jaka między promieniowaniem ciepła a temperaturą jego zachodzi, przy silnem zwłaszcza rozgrzaniu. Badacze opierać się mogą jedynie na przypuszczeniach mniej lub więcej dowolnych, a stąd poglądy ich tak dalece rozbiegają się między sobą, że gdy jedni, jak ksiądz Secchi, o trzech lub pięciu milionach stopni na słońcu prawią, inni, jak Violle, oceniają, że temperatura słońca nie przewyższa jakich 2,000 stopni, nie dorównywa tedy nawet najwyższemu, na ziemi osiągniętemu temperaturom.

Obliczenia powyższe mają charakter przeważnie teoretyczny, w ostatnich wszakże latach starano się kwestję tę umieścić na gruncie bardziej doświadczalnym, odwołując się do pomiarów bezpośrednich, a to przez porównanie natężenia promieniowania słońca z promieniowaniem źródła sztucznego, posiadającego temperaturę oznaczoną. Rezultaty tych pomiarów nie odskakują zbyt między sobą, a średnio wyznaczają słońcu temperaturę około 8,000 stopni.

Jeżeli z liczb tak rozstrzelonych wniosek jaki wyprowadzić można, to tyle chyba, że badania nowsze dążą w ogólności do ograniczenia przesadnie ocenianej pierwotnie temperatury słońca. Zresztą niższe te stopnie tyczą się tylko powierzchni jego; we wnętrzu ogromnej bryły słonecznej panuje zapewne żar potężniejszy, który długo jeszcze wynagradzać będzie ubytki, jakie wierzchnie warstwy słońca przez promieniowanie wciąż ponoszą.

Śród nieprzeliczonego wszakże zastępu słońc, w przestrzeni rozrzuconych, nasze ani najchłodniejszym nie jest, ani najgorętszem, a w szczególności gwiazdy, które światłem białem jaśnieją, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w wyższym znajdują się stopniu rozpalenia. Nie zatrzymamy się przy nich wszakże, choćby dlatego, że o ich temperaturze nie już zgola powiedzieć nie potrafimy, a od skwaru tak nadmiernego czas już chronić się na drugi kraniec skali temperatur.

STANISŁAW KRAMSZTYK.



Na morzu.



Qisza—spi morze, w śnie lekkim się wznoszą
Fale, pod wzrokiem księżyca lubieżnym,
I drżą tak lekko, w zawoju mgły śnieżnym,
Jak pierś kobiety uśpiona rozkoszą,
Lekko... ach! fale się wznoszą.

Nagle, z chmur łona wiatr wstaje zuchwały,
Schwył fal grzywę, z rozwitych warkoczy,
Perł ulewą bryzgnęły mu w oczy
Wściekle, do walki już w lot się zerwały,
Gdy wiatr je chwycił zuchwały.

Rycząc, z fal jedna kark wzniosła, szalona!
Pędzi, chce skały w pył rozbić w swym biegu,
Wzdyma się—piersi dotknęła już brzegu,
Szarpie go... we łzach opada—i kona,
Fala w swym biegu szalona.

* * *

Równie i w duszy, choć w głąb jej wtłoczone
Uczuć mrą fale, choć spokój zawita,
Dość jest, gdy słowo niebaczne zazgrzyta
O trumnę wspomnień—już ryczą zmaczone
Burze, w głąb duszy wtłoczone.

W serce uderzą, czy śmierci grom cisną?
Te uczuć widma, te zmyte łzą winy,
Te zgasłe szczęścia i bólu godziny,
Falą powrócą i gorzką łzą błysną
Uderzą w serce i... prysną!

ANNA NEUMANOWA.

Adam Krechowiecki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

14.)

Astary Bebek, widząc to, ocierał szorstką dłonią załzawione oczy, śmiał się z cicha i szeptał:

— Ot co!... Trzymać niewiastę za słowo, to jak piskorza za ogon... Ale rozum ma, bo ma... bezpieczniejszy pan z Melsztyna, niż błędny rycerz, choćby księciem był...

Nawet księżę Ziemowit Mazowiecki, od czasu owej wycieczki z zamku, stracił pewność siebie i widocznie namyślał się, co czynić, a chociaż jawnie sprawy Wilhelmowej nie porzucał jeszcze, ale już zaciętości dawnej nawet względem Spytka nie okazywał. Szeptano sobie na ucho, jako zręczny wojewoda krakowski przez różne przyjaciół obietnicami skłonić go umiał, iżby w dalszej walce przeciw Jagielle udziału nie brał. Mówiono nawet, że posłowie, którzy z Litwy powrócili, poczęli mówić mu o wdziękach i przymiotach najmłodszej siostry wielkiego księcia litewskiego, Aleksandry, i myśl mu podali, jako ona bardzo dobrą małżonką dla księcia Mazowieckiego mogłaby być.

Zwłaszcza dawny przyjaciel Ziemowita, starosta kazimierski, Krystyn z Ostrowa, jeden z tych, którzy to poselstwo sprawowali, tak mu ręką szczerze:

— Zważcie, mości księżę, że tak byłoby najlepiej... Należała się wam Piastowska korona, to prawda. Ale już na to poradzić nie sposób... stracona dla was na zawsze! Ale gdy na głowie mieć ją nie możecie, to możecie ją mieć blisko siebie przez takie małżeństwo. Jagajło chętnem będzie to widział okiem, albowiem w ten sposób z wroga przyjaciela i powinowatego mieć będzie, a z Pia-

stowską krwią tem silniej się połączy. Owa zaś księżniczka litewska nadobna jest, najbardziej przez Jagajłę umiłowana i wiano ma znaczne...

Nie odrzekł nic na to zrazu Ziemowit,

i obiera i zapewnia mu, daje, darowuje i odkazuje najprzezacniejszą Jadwigę, urodzoną królową polską, do połączenia z nim ślubami prawowitego małżeństwa.

Po powrocie ostatnim posłów, gdy ów akt pieczęciami opatrzony odeczytano Jadwidze, po raz ostatni jeszcze zerwał się w jej sercu bunt.

— Rozporządzaliście mną bez mojej wiedzy i woli! — zawołała. — Rozporządzacie tak, jak gdybym rzeczą była niewolną!...

Ale tu już wszyscy naraz: i Dobiesław z Kurozwęk, i Dymitr z Goraja, i Zawisza z Oleśnicy, i biskup Radlica, i ksiądz Wysz, i Nawój, zgółta wszyscy najbliżsi i najbardziej zaufani, jeli błagać i zaklinać królowę, iżby wahanu swemu i tej walce, która szczęśliwości królestwa szkodzi, czyni, położyła koniec.

Zrazu królowa zawarła się w milczeniu, ale dnia tegoż wie-

czorem wezwała do siebie księdza Nawoja.

Od owej straszliwej nocy, w której Reginka furtę baszty południowej Wilhelmowi otwarła, nie mówiła Jadwiga z Nawojem i widzieć go nie chciała, o to najbardziej zagniewana, iż on Reginkę, której królowa poświęcenie i odwagę wynagrodzić chciała, nie pytając o zezwolenie niczyje, uwięził z zamku i do Staniątek, pod opiekę i straż pobożnych sióstr reguły św. Benedykta oddał.

I teraz przyjęła go wyniosłe i surowo:

— Przecz-że wy—rzekła—nietylko mnie, lecz nawet rodzonej wnuce waszej gwałt czynicie? Zaliż sługą jesteście Bożym, który miłosierdzie głosi i wyznawa, czy też własnym zachceniom służycie, łamiąc bez litości wolę i serca innych?... Ze mną nie wiem co



WIZYTA

L. MAROLD

ale coraz bardziej zamyślał się i postanowił od wszelkich dalszych knozań na uboczu stać...

— Zobaczmy, co będzie...—szeptał.

Za milczącym zezwoleniem Jadwigi, wybrali się ostatni posłowie na Litwę i niebawem powrócili, przywożąc z Włkowyska zawarty akt uroczysty, wzywający wielkiego księcia litewskiego na tron polski i oddający mu królową Jadwigę w małżeństwo.

Aby wszelkim dalszym wahanom koniec położyć, ułożyli panowie małopolscy akt ów w tak stanowczych wyrazach, iżby on cofnięty być nie mógł. Brzmiał on tak, jakoby pochodził od wszystkiej społeczności Królestwa Polskiego, która wielkiego litewskiego księcia „za pana i króla bierze

się stanie... W ręku dziś waszych jestem, rozkazać niemocna, słuchać jeno zmuszona... Jak biedna macierz moja, tak i ja w niewoli jestem, bom... królowa!... Ale los Reginki na sercu mi ciąży... Przecz-że przeze mnie cierpieć ma? Wiedźcie przeto, jako ona zdawna miłość chowa w sercu dla rycerza Bolka, i że ja przyrzekłam...

Nawój żywo podniósł głowę:

— Ojcobójcy nie poślubi!...—zawołał.

— Stary Przecław — przerwała Jadwiga — lepszy jest... Ozdrowiał już i synowi przebaczył...

— Ale on—przerwał ksiądz—nie przebaczył sam sobie. Mówiłem z nim i wiem, jako tu już nie wróci... chyba po leciech... Za łaską Bożą przejrzał i w skrusze na odpokutowanie poszedł, pustelniczy żywot wieść...

— Tem nieszczęśliwszą jest Reginka!—zawołała Jadwiga, mocno poruszona:—nieszczęśliwą przeze mnie, a wy ją w murach klasztornych więzicie!... Oddajcie mi ją, iżbym ja jej i ona mnie pociechą i ukojeniem być mogła...

Tak szczerem i głębokiem uczuciem brzmiał głos Jadwigi, że wzruszył twarde serce Nawoja. Kornie chyląc głowę przed nią, rzekł:

— Miłościwa Pani moja! Nieprzebrane skarby serca dał ci Bóg, z których wielka szczęśliwość — czuję to — dla narodu twego i królestwa wyniknie... W żyłach twoich, królowo, płynie Jadwigi świętej i błogosławionej Jolanty krew, toż ona to sprawi, iż ukojenie przyjdzie, a z niem postanowienie tak wielkie, któremu podobnego nie oglądał jeszcze świat... Elżbietka zaś nie ma ani takich powinności, ani tak wysokich przeznaczeń, jeno obowiązek ten, iżby zbawić duszę swą, pokutę czyniąc za winę własną, za występki rodzica i dziada...

— Zali dla tego więzioną być ma? — przerwała Jadwiga. — Mówiliście, jako mnie miłujecie; przeto dla mnie to uczynicie i oddajcie mi ją, iżbym jej wdzięczność swoją okazać mogła... Przecież, ojczu, poniewolny żywot klasztorny miłym nie może być Bogu...

— Poniewolny on nie jest! — zaprzeczył ksiądz Nawój. — Reginka oświadczyła swą zgodę... A było to owej jeszcze nocy straszliwej, gdy stąd księżę rakuski umykał. Wówczas znalazłem ją w baszcie narożnej, znalazłem ją nieledwie omdlałą, i wówczas ona wyznała mi w skrusze, jako sama otworzyła furkę i stała się przyczyną nieszczęścia...

— Uczyniła ta przez miłość dla mnie! — wtrąciła Jadwiga.

— Nie wolno nikogo miłować ponad Boga i przykazania Jego! — surowo odparł ksiądz.

Po chwili mówił dalej głosem, który drżał:

— Wówczas ja tej biednej kającej się dziecinie, wyznałem wszystko... Nie tałem i grzechu mego, iżem przeniewierny się stał przykazaniu, zapisanemu na wiek wieków w Toporczyków księdze... Nie tałem występku jej rodzica, który w rozpuszcie pogrążony zmarniał i zginął, a pewno teraz w srogich mękach czyśćcowych pogrążony, od córki swej wybawienia przez pokutę domaga się... „A oto patrz,—rzekłem jej—jako brzemię grzechu z pokolenia na pokolenie przechodzi!

Nieświadoma przewinień rodzica i dziada, snadź nie odpokutowanych jeszcze, i ty zesłaś z drogi prawej, swawolną rękę podnosząc przeciw woli narodu... I oto co sprawiłaś... W nieszczęście wtrąciłaś królowę, a ten, którego umiłowałaś, ojcobójcą się stał!... Przeto pokutę czyni dla okupienia i swego i jego grzechu, dla wybawienia utrapionej duszy rodzica!... Ona zaś do nóg mi przypadła i, łkając, mówiła: „Czynić będę pokutę... chcę jej i pragnę!...“ Przeto nie poniewolnie ona teraz w modlitwie i klasztornej ciszy ukojenia szuka... Nie zamącajcie, królowo, tego jej spokoju!...

Głos Nawoja prośbą brzmiał, a Jadwiga czuła łzy, ciskające się jej do oczu, na myśl, że ta jasnowłosa dziewczeczka, która ku życiu wybiegała z uśmiechem, a w swoją duszę jeno dźwięki pieśni i promienie słoneczne chłoneła, teraz za jej powodem w ponurych murach zamknięta, na ciszę, i ciemność, i pokutę skazana jest. Milszą ona stała się jej teraz nawet od Elżbietki, która zmiennością swą i zalotnością, jawnie okazywaną, zraziła ją ku sobie. Tedy po chwili odrzekła:

— Nie przeciwieć się woli waszej, ojczu, ale proszę o jedno: dozwólcie mi widzieć się z nią, iżbym tajniki duszy jej wybadać mogła... Ona, wiem to, przede mną nie skryje nic...

I głosem bardzo cichym dodała:

— Jeżeli spełnię wolę waszą... jeżeli, powiadacie, apostołstwa mam w sobie należeć moc, a wyrzec się szczęśliwości wszelkiej, toć przecież żywot mój gorzej niż klasztorny będzie... Dozwólcie, iżby Reginka, gdy zechce, podzieliła go ze mną... Chcę mieć przy sobie tę słodką, pieszczoną, jasnowłosą dziecinę...

Teraz królowa prosiła, składając ręce.

Nawój zaś czuł, że jego niewzruszone serce chwyta żalność ogromna; czuł, że bliski jest uroczysty moment objawienia się woli Bożej przez usta Jadwigi. Zdawało mu się, że słyszy jakby szum wichru, który tę Najwyższą Wolę z góry przynosi... i przenikał go lek...

Po długiej chwili milczenia rzekł głucho.

— U stóp Pana Krystowych, królowo, szukajmy objawienia... Sługa Boży, jeno to rzec mogę: W twoich ręku jest zbawienie całego narodu, milionów dusz... Dla takowego celu cóż znaczą wszelakie ofiary?... U stóp Pana Krystowych chodźmy modlić się...

Słowa jego brzmiały tak, iż oprzeć się im było niepodobna; miały siłę rozkazu z wysoka.

Za moment Jadwiga klęczała u stóp Krzyża w świątyni wawelskiej, pogrążonej w mrokach. Jeno przed tym krzyżem płonęło wieczyste światło, migotliwymi płomikami rozjaśniając rozpięte w męczarniach ciało Zbawiciela.

Zr... podobny byłoby tr... a na ust... indziej... jedno... atkać, po wyższe więc stopnie ciepła... jące... teba aż do słońca. Zapomniano już blade... ziwacznej, która słońcu jądro ciemne rania... lko powłokę przypisywała; rozumie... że dzienna nasza gwiazda, któ... dwiga... wszystką działalność na zie... ognista i wskroś roz... słońca nie na... chomy... Twarz miał... oczy sztywnie

utkwione przed siebie; usta wpół otwarte nie poruszały się: on modlił się duchem, cały stał się modlitwą...

Za wzrokiem jego idąc, Jadwiga także podniosła twarz i ujrzała w blaskach Chrystusową głowę w cierniowej koronie. Zdawała się drgać, poruszać i skłaniać ku niej... A ona już oczu od niej oderwać nie mogła. Od stóp do głowy przeniknął ją dreszcz, już nie lęku, lecz dziwnego uniesienia, w którym dusza jej rosła, rosła, szerzyła się, jakby z ciała ulecieć pragnęła...

— O, Kryste! o Kryste!...—szeptały teraz jej blade usta...

A potem wymawiały imiona tych, ubłogosławionych w niebiesiech, których ona po krwi i duchu była dziedziczką:

— Jadwigo święta!... błogosławiona Jolanto!... przybądźcie... wspomóżcie wnukę waszą... O, Kryste! o, Kryste!...

I nagle stało się jej tak, jakby nie widziała i nie czuła już nic. Ogarnął ją wielki szum, niby fal morskich, a w oczach chwilowe jaskrawe błyski, potem zaś ciemność...

Gdy otworzyła oczy, ksiądz Nawój dźwigał ją omdlałą z ziemi, a ona widziała znów przed sobą drgającą w blaskach twarz Zbawiciela w cierniowej koronie.

I nagle stanęła o własnej mocy i wyprostowała się...

— Niech się stanie...—rzekła—niech się stanie wola Twoja, Kryste!...

— Fiat! fiat! — powtórzył ksiądz Nawój. I na kolana przed królową padł.

— Czcę w tobie—szepnął—objawienie Woli Najwyższej... Bądź błogosławiona...

A Jadwidze zdało się w tej chwili, jako coraz silniej płonie światło przed ołtarzem, że wszelkie mroki znikają, i staje się ogromna słoneczna jasność.

Gdy wychodzili ze świątyni, ozwał się Nawój, żegnając Jadwigę:

— Zbadajcie ducha Reginki, królowo... Gdy zechce, niech idzie z Wami... Oddaję ją Wam na zawsze.

Nazajutrz z rana Jadwiga, iżby okazać jako niezłomne postanowienie powzięła, przyzwała dworzanina swego, Zawiszę z Oleśnicy, i rozkazała mu, aby z licznym poczem rycerstwa, w imieniu jej, zbliżającego się już ku Lublinowi Jagiełłę powitał. Potem zaś przywołała Przecława, który z ran zupełnie już uleczony, mieszkał znów w swym dworcu przymurnym, pomimo nalegań królowej, iżby w zamku do śmierci pozostał. Stary rycerz nie chciał jednak przystać na to.

— Miłościwa Pani,—odparł—dozwólcie, abym nie rozdzielał się z tem, co mi jedynie z lat przeszłych pozostało—z nędzą moją... Żywot dworski nie dla mnie... Resztę dni moich spędzić chcę, budząc dawne rycerskie cnoty w sercach młodzi naszej iżby śladem

Równie i w duszy, choć w głąb jej zla... Ale Uczuć mrą fale, choć spokój zawita... m zawsze Dość jest, gdy słowo niebaczne zaz... służy mieć O trumnę wspomnień—już ryczą z... ta się, przy-

Burze, w głąb duszy w... przy-

W serce uderzą, czy śmierci... zlecenie wam Te uczuć widma... przyjdzie łatwiej, niż... je wypowiedzieć... Ale muszę...

Strzymała się królowa, on zaś rzekł:

— Rozkazujcie, Pani: spełnię wszystko!...



FORPOCZTY

KAZIMIERZ PUŁASKI



chyloną, aż doszedł do środka sali. Tu przystanął i podniósł wzrok...

Na tronowym wzniesieniu stała teraz Jadwiga. Wyprostowała swą wspaniałą postać i oczyma bez blasku, jakby znużeni, patrzyła. Na jej zbladłych ustach i w całej postawie był zimny wyraz dumy. Ale ten wkrótce ustąpił miejsca zdumieniu.

Przed nią stał nie rycerz dziki, jakim sobie wyobrażała Jagiełłę, lecz miernego wzrostu mąż, przyodziany w ozdobny włoski strój z krótkim kordem u boku. W ściągłych rysach oblicza, nieco ogorzałego, przebijała się łagodność; usta, ocienione długim, ale cienkim wąsem, zdawały się uśmiechać, a oczy małe, czarne, patrzyły żywo, ciekawie. Na czole wysokim, z włosów nieco obnażonym, zarysowała się w tym momencie zmarszczka rozważa. Ale wnet rozpogodziło się ono, a oczy, utkwione w Jadwigę, poczęły ciskać błyski... Jagiełło cofnął się, olśniony urodą i majestatem młodziuchnej królowej.

— Pokłon Ci, Pani Najjaśniejsza! — rzekł szybko, głosem nieco szorstkim, który odbijał od łagodnego wyrazu twarzy.

Jadwiga nieznacznie wzdygnęła się, ale schodząc ze stopni tronu, podeszła ku Jagielle i głosem pewnym a dźwięcznym odparła:

— Witam Cię, potężny Książę Litwy, w tej prastarej stolicy i w zamku królewskim; witam cię sercem przychylnem, w nadziei, że obietnic złożonych mnie i panom tego królestwa dotrzymasz...

— Dotrzymam! — znów szorstko odparł Jagiełło, ogarniając pałającym wzrokiem cudną Jadwigę postać.

Ku niej też biegły spojrzenia wszystkich, zwłaszcza zaś roziskrzone, dzikie oczy Skirgiełły, uporczywie w nią utkwione z wyrazem hamowanej żądz, mimowolnie przeniknęły królowę, która wzdygnęła się i potoczyła wzrokiem po całym zgromadzeniu.

Zdawało się jej to snem: tyle twarzy dzikich, tyle postaci ogromnych, w zbrojach ciężkich lub w strojach dziwacznych a barwnych. Obok Skirgiełły stał Świdrygiełło, książę o obliczu jeszcze bardziej przerażającym i dzikim. Rzucał wzrokiem z podejścia, ciekawie i bystro. Dalej, obok książąt Wigunta i Korygiełły, dźwigających na plecach cenne skóry zwierzęce, widać było postać Kiejstutowicza Witowta, na którym najdłużej zatrzymały się oczy Jadwigi.

Wiekem starszy od Jagiełły, wyglądał młodziej i dzielniej w zbroi bardzo ozdobnej i lśniącej. Oblicze jego, zupełnie bez zarostu, miało wyraz ujmującej powagi, a bystre oczy patrzyły przed siebie śmiało. W ręku trzymał szyszak złocisty, rzymski, z wielkim piórem strusim u ostro zakończoności szczytu.

Jednym spojrzeniem objęła ten obraz Jadwiga i znowu na moment przejął ją lęk. Jakże to wszystko było odmienne od tego, do czego jej oczy nawykły! a ci litewscy książęta i panowie jakże inni od wytwornych rycerzy andegawęńskiego dworu!

Wnet jednak przemogła wrażenie, i zwracając się ku znanemu już sobie Skirgiełle, uprzejmie skinęła do niego głową.

— Bywajcie, książę! — rzekła.

A on wzdygnął się i zachwiał na

dźwięk tego głosu i, postąpiwszy krok dalej, nie zważając na swą ciężką zbroję, z wielkim łoskotem a chrzęstem, na kolana przed nią padł i dał pokłon w milczeniu.

Na usta Jadwigi wybiegł blady uśmiech. Ale zarazem przyszyły jej na myśl dawne Nawoja słowa: „Tak ci da pokłon Litwa cała!...”

Podniosła tedy głowę i, wstąpiwszy na wzniesienie, pełna już spokoju i majestatu, zęgnęła książąt, prosząc, iżby w zamku królewskim przyjęli gościnnie.

Od dnia tego wrzało w Krakowie jak w ulu. Rozbiegały się języki na dobre, roznosząc najrozmaitsze wieści. Nie każdy mógł docisnąć się do katedralnej świątyni i widzieć, jak na dzień trzeci po wjeździe uroczystym, pięciu wnuków Gedyminowych z Jagiełłą na czele z ręką arcybiskupa Gnieźnieńskiego Bodzanty, a w obecności krakowskiego biskupa Jana, przyjęło Chrztost Święty, a w trzy dni potem, gdy tenże Bodzanta dożgonnymi śluby wiązał zimną dłoń Jadwigi z szorstką prawicą nowochrześcija Władysława. Nie wszyscy słyszeć mogli, gdy w tejże katedrze ogłaszano uroczyste dawne ślubowanie Jadwigi Wilhelmowi jako odwołane i nieważne. Nie każdy mógł dojrzeć śmiertelnie bladą twarz królowej, jej boleśnie zacisnięte usta, które otwierały się już jeno po to, aby wypowiadać słowa, od których krew krzepła w żyłach, a stygło udreżone serce... Nie każdy to widział i pojąć zdołał, ale każdy tak mówił o tem, jakby naocznym był świadkiem i rozumem swym objąć mógł.

W gronie zaś panów Rady było zaniepokojenie wielkie z powodu, iż Mistrz Krzyżacki Zollner na uprzejme zaproszenie Jagiełły, zaniezione przez Dymitra z Goraja, iżby mu ojcem chrzestnym chciał być i w obrzędzie koronacyjnym wziąć udział, dumną i szorstką odmową odparł, a wiedziało już, jako siły inflanckie i pruskie gromadzi i z rakuskiego poduszczenia w granice Litwy wtargnąć zamierza, iżby pomstę wziąć.

Poczęto przeto czynić pośpieszne przygotowania, aby uroczysty obrząd koronacyjny Jagiełły co rychlej odbyć, ku uciechu ludu i na wieczną pamięć wyprawić wspaniałe gody weselne, potem zaś ku obronie się mieć.

Tymczasem lud krakowski dzień i noc weselił się. Przybyłe drużyny litewskie wzbudzały podziw nie tylko swą sprawnością i dzielnością w robieniu bronią ciężką, toporami i strzelaniem z łuku, nie tylko wytrzymałością w pijatykach, ale zwłaszcza obrządkami swymi pogańskimi, które jak przedtem czasu pierwszego swadziebnego poselstwa, odprawiały w lesie, Chwacimiech zwanym. Tam za miasto, w górę Wisły, wybiegała liczna młodzież rycerska i mieszczańska, przyglądać się dziwaczным obrządkom, na co biadał okrutnie stary Przecław i nie tylko przed Nawojem, lecz już z dawnego przyrzeczenia zwolniony, przed innymi głośno się skarżył. Nawój miał zawsze jedną na owe żale odpowiedź:

— Bóg jest cierpliwy; przecz-że my mielibyśmy się w niepokoju targać?... Czekajmy a módlmy się...

W końcu lutego, który u Litwinów był

przedostatnim miesiącem roku, przypadało właśnie pogańskie święto boga Ragutis, zwanego także Bubilos. Był to bóg napoju wszelakiego, biesiad i pijatyk, na którego cześć różne zdrożne wyprawiano obrządki. Pewnego dnia ze zdumieniem i zgorszeniem ujrzało, jak przez ulice Krakowa przeciągała, wyjąc i wrzeszcząc, pijana tłuszcza litewska. Otaczała ona wóz mały, przez dwa pstre byki ciągniony, na którym stał kamienny bałwan nagi, o głowie szkaradnej, potwornej z dwoma u boków rożkami. Twarz tego bożka, wyrobiona niekształtnie, zdawała się szyderczym wykrzywiona uśmiechem.

Zawrzało oburzenie sregie. Niektórzy zapalczywsi wołać poczęli:

— Do Wisły z nim! Zatopić go!

I byłaby się stała okrutna zwada, a może i bójka krwawa, albowiem owa pijana tłuszcza, wśród której znajdowało się wiele rozpasanych a cudacznie przystrojonych niewiast, zuchwale w obronie bożyszcza swego stawać poczęła, ale wdali się w to strażnicy miejscy i wyprowadzili ową hałastę wraz z bałwanem za miasto, ku Chwacimiechowi. Z podziwieniem też ujrzało, jako książę Skirgiełło, który w czas zwady nadbiegł, w obronie owych pogan, chociaż sam oddawna ochrzczony, gorliwie starał i nie dozwolił im krzywdy czynić, wołając, jako to są starodawne obyczaje litewskie, którym przeszkody czynić nie wolno.

— *Messedrines! messedrines!* — krzyczał sam już nieco pijan, chociaż to była za ledwie południowa godzina.

Tegoż wieczoru w gospodzie Skodziny pełno było młodzi rycerskiej i mieszczańskiej, a wśród niej siedział bardziej niż zwykle ponury Przecław Wąwelski. To, co dziś na ulicy z owym bożyszcem pogańskim widział, zgnębiło go do reszty; przestawał ufać słowom księdza Nawoja, zwłaszcza, iż słyszał jako młódź owa cała bez zgorszenia o tem rozpowiada, owszem, ze śmiechem a weselem. Niektórzy z nich aż do Chwacimiechu za ową tłuszcza szli i, wróciwszy, z uciechą prawili o różnych igrzyskach dziwnych, które tam pogaństwo czyniło. A wśród tej młodzi byli najprzedniejsi, jak oto: Warsing, Wierzynkiem zwan, Staszko Dąbrowa, syn rajcy miejskiego, Schonberg, Kopyrnik, a także z miast innych przybyli: Paweł Piotrków, Wojtek Modliszewo, Miško Budziszyn i innych wielu. Przybył też i Siemko Bełza, ale do gwarnej rozmowy nie mieszał się; usiadł przed stołem, oparł głowę na rękę i posępnie się zamyślił o umiłowanej jasnowłosej dziewczeczce, do której teraz zbliżyć się, ani nawet dojrzeć jej nie mógł.

A zaś wesół Miotko, młodzianek bardzo małego wzrostu, lecz zgrabny w ruchach i żywy, opowiadał wśród śmiechu innym, jako tam, w Chwacimiechu, owe pijane niewiasty dokazywały wielce, płasząc wokół bożyszcza i przez ogniska skacząc.

— Niektóre — mówił — są całę nadobne, zwłaszcza zaś jedna, z którą gdym płaszać chciał i przez ogień skakać, takem się potknął, iżem sobie jeno w ognisku skórnę opalił... Ona zaś skoczyła jak sarna i znikła... Jeno mi jej białe lędźwie, gdy skakała, błysnęły...

DCN

Szpital Najświętszej Maryi Panny na Pradze.

Szkic historyczny.



zy Praga, która od Władysława IV w r. 1648 otrzymała prawo magdeburskie, posiadała szpitale, urządzone na wzór szpitali warszawskich, trudno coś pewnego powiedzieć. Skutkiem pożarów i klęsk politycznych, nie prawie nie ocalało z aktów magistratu m. Pragi.

Weynert w „Starożytnościach Warszawskich” podaje, że w r. 1792 na Pradze przy ulicy *Nowej* był szpital drewniany z ogrodzeniem, N-r 9 domu, który należał do Jurydyki Kamienieckiej; drugi szpital drewniany był przy ulicy *Wspanialej*, N-r 240, należący do probostwa; obok tego pod N-r 241 szpital drewniany stary.

Spis domów i ludności Pragi z r. 1792 wymienia tylko szpital drewniany, do probostwa należący przy ul. *Wspanialej*, pod N-r 240, i drugi stary drewniany, do tegoż probostwa należący pod N-r 241.

W szpitalu pod N-r 240 było „ubogich mężczyzn 3 i niewiast 5, służąca białogłowa 1.”

Wykaz posesyi na Pradze z roku 1804, przez Prusaków ułożony, wymienia tylko jeden szpital

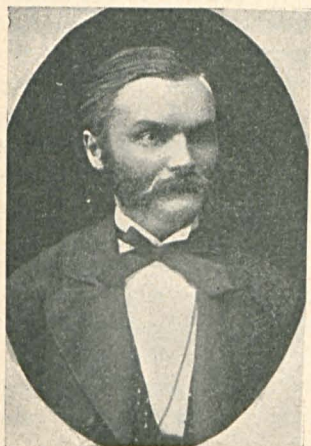


D-r Waleryan Klecki,
lekarz naczelny szpitala wojkowego na Pradze
od 1827—1830 r.

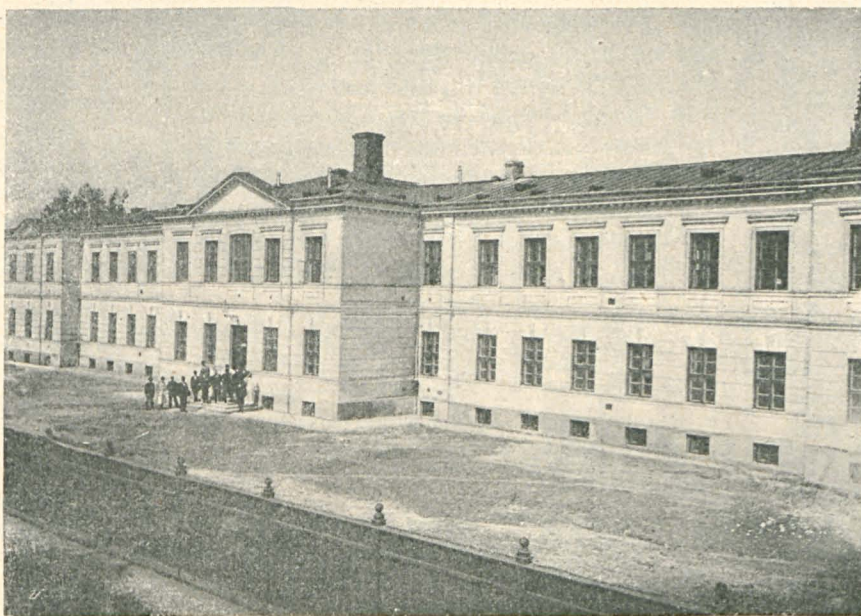
kiej i miejskiej kondycyi, Helowej, żony stolarza z Warszawy, na poprawę osadzonej, Xieźnej Woronieckiej, 2 mężczyznów i 2 białogłów jeszcze, ubogich mężczyznów 7, ditto białogłów 20.”

W roku 1807, według raportu sędziego cyrkulowego na Pradze, Ant. Leśkiewicza, był „kościół Bernardynek na lazaret zajęty.” Co się stało ze szpitalami parafialnymi, niewiadomo; zapewne spaliły się, lub zostały rozebrane, jak klasztor PP. Bernardynek, który był rozebrany przez wojska francuskie przy fortyfikowaniu mostu od strony Pragi.

Ludność więc Pragi była przez długie lata pozbawiona zupełnie szpitala stałego. W razie epidemii głodu i chorób, tworzone prawdopodobnie czasowe szpitale, jak to zrobiono np. w roku 1854, kiedy Rada Administracyjna zdecydowała urządzić 2 szpitale posilkowe, jeden w Warszawie na 200 chorych, drugi dla stu chorych na Pradze: „w wynajętych szopach, bez użycia efektów szpitalnych, prócz sienników i tarczanów, dla udzielenia żywności i schronienia ubogim na miesiąc czerwiec, lipiec i sierpień.”



D-r Zyg. Dobieszewski,
lekarz naczelny szp. na Pradze
od 1868 do 1871 r.



Szpital na Pradze.

przy ulicy Farnej pod N-r 342, do kościoła parafialnego należący.

Należy przypuszczać, że uboga ludność Pragi w razie kalectwa i choroby znajdowała przytułek w klasztorach praskich. Wspomniany wyżej „Spis domów i ludności Pragi z roku 1792,” wymieniając kościół i klasztor Panien Bernardynek przy ul. Panieńskiej (stąd nazwa ulicy Panieńskiej), N-r 297, wylicza obok „20 panien zakonnic, 11 białogłów na edukacyi, 30 rezydentek szlache-

Lokal wynajęto w domu Cieszańskiego, „gdzie był dawniej oddział cholerycznych.”

Z powiększeniem się ludności Pragi, brak szpitala silnie uczuwać się dawał i dlatego w roku 1865 Rada Główna Opiekuńcza zwraca uwagę na konieczność wybudowania szpitala na Pradze. Miasto ofiarowało plac przy ul. Brukowej, ale kosztów ponosić nie chciało.

Cholera w r. 1866 zmusiła miasto do zajęcia na szpital choleryczny w ciągu 1866



D-r Władysław Kryże,
lekarz naczelny od 1871 do
1899 roku.



D-r Raum,
lekarz naczelny od 1899 r. i ordynator I oddziału chirurg.



D-r B. Jakimiak,
ordynator II oddziału chirurg.



D-r Edward Zieliński,
ordyn. I oddziału wewnętr.



D-r Wład. Bruner,
ordyn. II oddziału wewnętr.



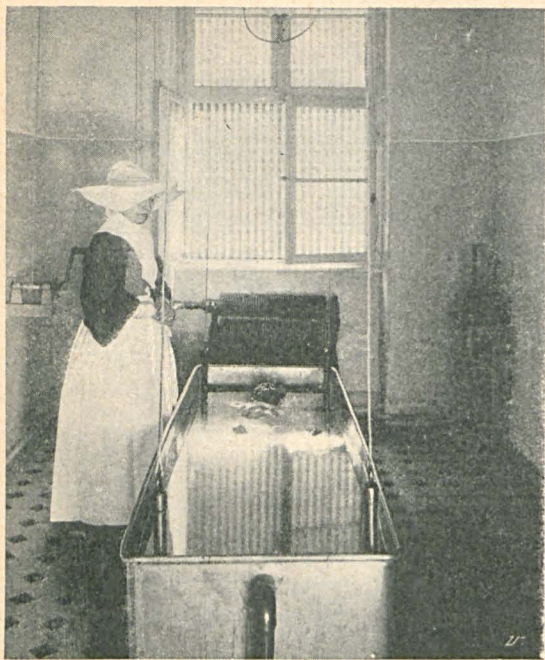
D-r K. Zieliński,
ordyn. III oddziału wewnętr.



D-r J. Tchórznicki,
ordynator oddziału chroników.



Inż. St. Filipkowski,
prezes kom. bud. now. pawilonu.



Wanna stała.

i 1867 lat budynków po b. zbornym punkcie. W r. 1868 szpitale warszawskie tak były przepełnione, że w szpitalu Dzieciątka Jezus w lutym leżało po 960 chorych, chociaż było tylko 630 miejsc; na salach stało po 4 rzędy łóżek, zajmowano korytarze, a w braku łóżek kładziono na siennikach na podłodze (teraz to samo się dzieje z powodu braku miejsc). W niektórych salach kładziono po 2-ch chorych na jednym sienniku. Taki stan rzeczy zmusił do utworzenia nowego szpitala, co też uczyniono, zajmując na szpital b. punkt zborny na Pradze.

Opis tego nowo utworzonego szpitala, wraz z rysunkiem, umieścił w „Tygodniku Ilustrowanym” w numerze 13 z r. 1868, ówczesny lekarz starszy szpitala, d-r Zygmunt Dobieszewski. Kiedy był wybudowany i jakie miał przeznaczenie gmach zajęty ostatecznie w r. 1868 na szpital miejski na Pradze, trudno coś pewnego powiedzieć. Poszukiwania, robione w archiwach magistratu akt dawnych, wojskowych i szpitalnych, rzucają bardzo niewiele światła na tę sprawę. Pewnem jest tylko to, że gmach ten nie był wybudowany *specjalnie na szpital oczny* dla 4-go pułku b. wojsk polskich przez Prażan, z powodu przyjęcia mandatu od Pragi do sejmu przez W. Ks. Konstantego, jak to głosi podanie, jak wydrukowano w sprawozdaniu b. inspektora szpitalów, prof. Czausowa; również nie był w roku 1828 wybudowany, lecz znacznie wcześniej.

Na planie sztabowym z r. 1825 gmach ten już figuruje jako „koszary pontonierskie.” Z papierów zaś, pozostałych po ś. p. d-rze Waleryanie Kleckim, udzielonych łaskawie przez synów tegoż, pp. prof. Wszechnicy Jagiellońskiej, widać, że już we wrześniu 1837 r. w gmachu tym był szpital wojskowy „dla chorych na szkorbut i inne choroby chroniczne.” Lekarzem był d-r Waleryan Klecki, lekarz bataljonowy 5-go pułku piechoty b. wojsk polskich, którego podobiznę, dzięki uprzejmości pozostałej rodziny, umieszczamy.

W owym czasie w wojsku polskim panowało epidemiczne egipskie zapalenie oczu. W. Ks. Konstanty, który odwiedzając często szpital praski, znał dokładnie ludzi i stosunki, porucił Kleckiemu urządzenie szpitala ocznego dla chorych z całego wojska polskiego, pozostawiając mu obiór miejsca na szpital. Klecki obrał szpital na Pradze, i urządziwszy go jako oczny, kierował nim aż do jego zwinienia, t. j. do 12 grudnia 1830 roku, kiedy chorzy zostali przeniesieni do szpitala Ujazdowskiego, również pod opiekę Kleckiego.

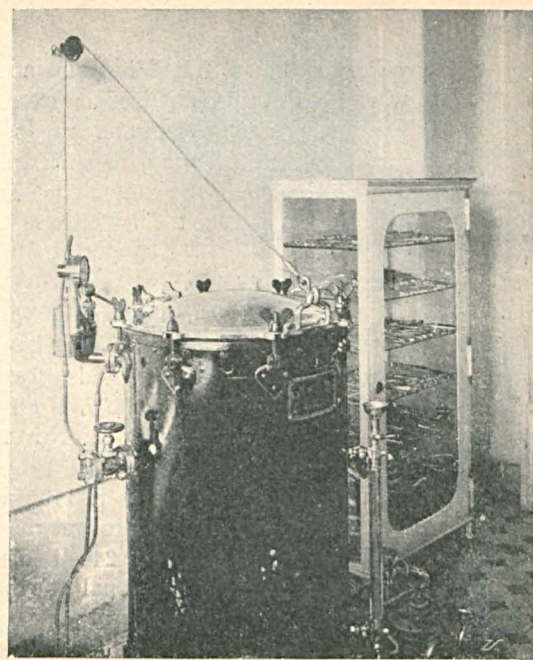
Później prawdopodobnie szpital praski był przeznaczony dla rannych. Wiadomem jest następnie, że budynek był zajmowany na punkt zborny do 1863 r., że stało tam wojsko i czasowo mieściła się (koniec 1867 r.) „służba duchowna wojskowa wyznania mahometańskiego.”

Utworzony ten nowy szpital 1868 r. na Pradze urządzono na sto łóżek: 45 męskich i 55 kobiecych. Do opieki nad chorymi wyznaczono czterech lekarzy: Zygmunta Dobieszewskiego, Feliksa Wojcikiewicza, Franciszka Śliwickiego i Seweryna Broniewskiego. Starszym lekarzem mianowano Zygmunta Dobieszewskiego. Oprócz tego były 3 siostry miłosierdzia i 2-ch felerzerów. Kuratorami szpitala byli naznaczeni pp. Moldenhawer i Gautier, indendentem Twardowski.

Szpital nosił nazwę *czasowego* i był jak gdyby filią szpitala Dzieciątka Jezus, stąd też byli przeniesieni pierwsi chorzy w liczbie 100. Warunki egzystencji były bardzo ciężkie z powodu braku funduszy i wymagały dużo energii i poświęcenia się.

Po zagospodarowaniu się i zaopatrzeniu szpitala w najniezbędniejsze rzeczy, podjęto starania 1868 r. o utworzenie ambulatorium, w którym dawano poradę, ale nie wydawano lekarstw, gdyż szpital nie posiadał apteki na własne potrzeby.

W r. 1875, na żądanie naczelnego lekarza, d-a Wł. Kryżego, zgodzono się utworzyć oddział chirurgiczny, którego kierownictwo powierzono d-rowi Orłowskiemu w charakterze konsultanta. Skutkiem braku funduszy i długów, w jakich przez pewien czas znajdowały się szpitale, ulepszenia rozmaite musiały postępować bardzo powoli,

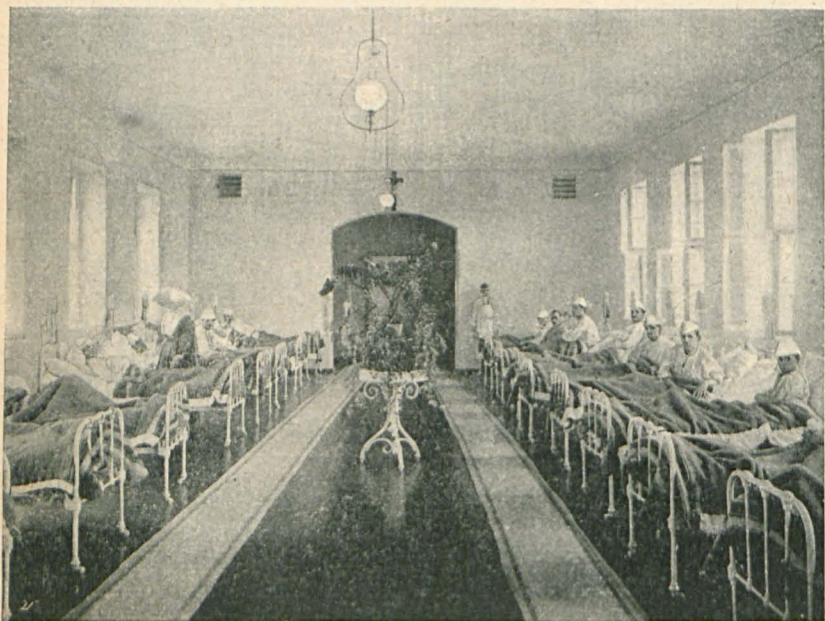


Sterylizator.

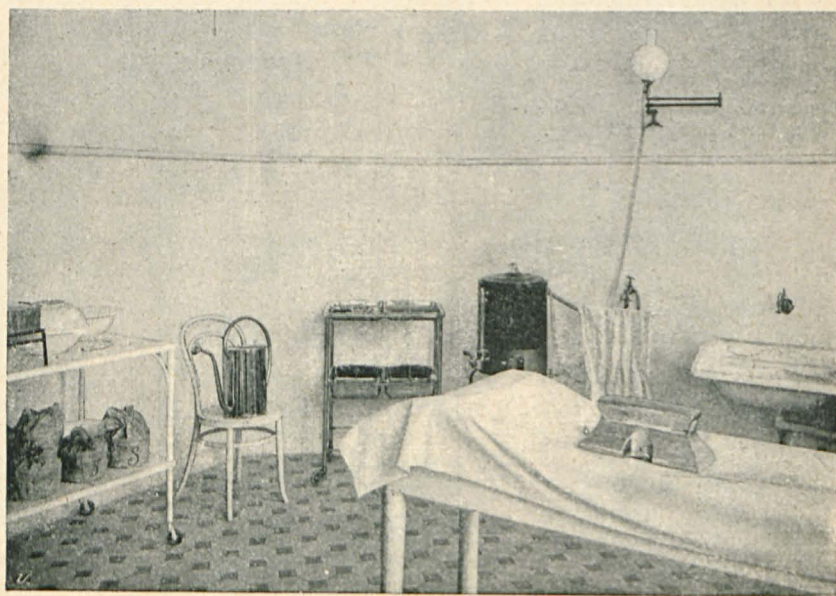
tymbardziej, że udział lekarzy został ograniczony. W r. 1864 był taki brak funduszy, że „opiekun jest prawie zmuszony szpital za zamknięty ogłosić,” jak o tem składa raport starszy lekarz.

Powoli wszystko zmieniło się na lepsze. Bardzo szybko zaczął się rozwijać szpital N. M. P. w drugiej połowie ostatniego dziesięciolecia. W r. 1896 wybudowano barak na 40 łóżek, w następnych latach rozszerzono kuchnię, wybudowano odpowiednią trupiarnię i kaplicę przedpożrzebową, w starym gmachu zrobiono pokój opatrunkowy, kurator p. St. Filipkowski własnym kosztem przebudował klatkę schodową i postawił schody; oprócz tego wykonano dużo drobnych, lecz doniosłych robót w celu polepszenia warunków szpitalnych.

Pod przewodnictwem kuratora szpitala, inżyniera St. Filipkowskiego, uformował się komitet; do składu jego weszli inspektor szpitali, prof. Troickij, lekarz naczelny d-r Wł. Kryże, ordynator oddziału chirurgicznego d-r medycyny J. Raum, budowniczy Oraczewski i intendent Pióro. Następnie z powodu ustąpienia d-ra Wł. Kryżego, który 1898 r. zajął stanowisko lekarza naczelnego dróg Nadwiślańskich i nominacji na jego miejsce ordynatora oddziału, chirurga, d-ra med. J. Rauma, wszedł do komitetu ordynator oddziału chirurgicznego d-r B. Jakimiak. Czasowo na miejsce p. Pióro wszedł intendent, b. lekarz wojskowy Żytkiewicz, i już pod koniec budowy wszedł W. Kronenberg, który został kuratorem szpitala na miejsce



Sala chorób wewnętrznych.



Sala operacyjna.

powołanego na członka Rady miejskiej p. Filipkowskiego.

Komitet zrobił wszystko, co tylko można było zrobić w naszych warunkach, i przy znajomości rzeczy i sumienności naszych przedsiębiorców i majstrów, wybudował w ciągu 2-ech lat pawilon, który możliwie odpowiada we wszystkim swemu zadaniu. Pawilon ten tak urządzono, że w Warszawie może służyć za wzór innym szpitalom, posiada bowiem wszystkie urządzenia, oparte na najświeższych zdobyczach nauki.

Pawilon ma mieścić 104 łóżka.

Podłogi na korytarzach, jak również w salach operacyjnych, pokoju sterylizacyjnym, wannach, kuchenkach i klozetach z płytek terakotowych, rozmaitego koloru, stosownie do przeznaczenia pokoju, we wszystkich innych pomieszczeniach podłogi drewniane.

Ściany w salach operacyjnych do połowy wyłożono taflami kaflowymi, wyżej i sufity pokryte farbą emaliową; taką też farbą pokryto ściany pokoju sterylizacyjnego.

Sterylizacja środków opatrunkowych odbywa się w specjalnym, kupionym przez lekarza naczelnego d-ra med. Rauma w Berlinie kotle, który pracuje *parą w ruchu i pod ciśnieniem*. Dla kontroli temperatury i czasu, w jakich się sterylizacja odbywa, służą specjalne aparaty kontrolujące. Do tej pory Warszawa takiego kotła i takich przyrządów nie posiadała. Jedynym też urządzeniem, którego niema w żadnym ze szpitalów ogólnych warszawskich, nawet nowo wznoszonych, jest t. zw. *wanna stała* (z wodą ciągle przepływa-

jącą), która służy wprost za łóżko stałe dla chorych oparzonych, lub dotkniętych odleżynami. Tego rodzaju wanny wpływają nadzwyczaj dobroczynnie na stan chorych i właściwie powinny być na każdej sali. Prócz tego znajduje się gabinet Roentgena, do którego aparaty sprawił d-r E. Zieliński, pracownice: chemiczna, mikroskopowa i t. d.

Z lekarzy pracują obecnie w szpitalu: lekarz naczelný i ordynator I oddziału chirurgicznego d-r med. Jan Raum, ordynatorowie oddziałów wewnętrznych, d-r E. Zieliński, Wł. Bruner i K. Zieliński, ordynator II oddziału chirurgicznego d-r B. Jakimiak. W oddziale dla chorych jest ordynatorem d-r J. Tchórznicki. Lekarzami miejscowymi są: d-r M. Dehnel i d-r H. Huebner. Asystenci oddziałów chirurgicznych d-rowie: Ostaszewski, Marcinkowski, Antecki, Jędrzejewski, Uściński, Mayer, Pawlikowski; oddziałów wewnętrznych: Bychowski, Konczyński, Łaski, Hagmajer. W ambulatoriach pracują d-rowie: Nosowski, Reutt, Szumlański, Krzyżkowski, Bronowski i Uliński. W oddziale chorych nerwowymi chorymi zajmuje się kobieta, d-r Downarowicz, lekarka ambulatorium.

Żywność szpitala praskiego w porównaniu z innymi szpitalami niedługi, lecz owocny. W ciężkich chwilach życia Warszawy, w czasach epidemii, szpital praski był zawsze jednym z pierwszych, a często jedynym, który otwierał drzwi na przyjęcie chorych i ostatni zamykał. W ciągu swego krótkiego żywota, przez 6 lat dawał przytułek chorym na cholera (2129 osób), w roku zaś 1878 mieścił chorych na ospe.

Reasumując obecnie stan czynny szpitala,

widzimy, że posiada w 3 pawilonach 10 sal dla pomieszczenia 200 chorych; oprócz tego mieści w t. zw. barakach rekreacyjnych 120 chorych. Razem ma mieścić 320 osób, ale z powodu ciągłego braku miejsca będzie mieścił zapewne 420. Do obsługi tej liczby chorych, jak również ambulatorium, dochodzącego w ciągu roku do *szesnastu tysięcy*, jest 26 lekarzy, nie licząc wolontaryuszów, 19 siostr miłosierdzia, 9 felcezerów, z odpowiednią liczbą służby niższej przy chorych, w pralni, kuchni i na podwórzu.

Nieobojętną zapewne dla czytelników będzie wiadomość, że powieściopisarz W. Reymont, który padł ofiarą katastrofy kolejowej, był na kuracji w szpitalu praskim.

Ile sił i energii i ilu ludzi trzeba było zużyć na to, żeby doprowadzić szpital praski do tego stanu, w jakim jest obecnie, ile walk należało podjąć i stoczyć z brakiem środków, obojętnością i niechęcią ludzką, kompletną nieznajomością rzeczy, zamykaniem oczu na braki i t. p., może ocenić ten, kto sam się tych spraw dotykał, kto musiał przekonywać o takich rzeczach, jak to, że do oddychania potrzeba powietrza, do zdrowia światła, do odżywiania pokarmów, do czystości wody i mydła i t. p.

Najbliższą troską obecną szpitala jest budowa domu administracyjnego, urządzenie kuchni odpowiedniej i następnie, korzystając z przylegającego placu, budowa następnych pawilonów i uporządkowanie całego terytorium, oprócz zaprowadzenia odpowiednich ulepszeń i przeróbek w dwóch dawniejszych pawilonach.

Jak należy zwiedzać strony ojczyste?

UJAZD.

Na kartach dziejów naszych XVII wieku błyszczącymi głoskami zapisało się imię potężnego rodu Ossolińskich. Jak oślepiający meteor wzbili się ów ród wysoko nad horyzontem Rzeczypospolitej, olśnił blaskiem swego poloru i wykwinu całą ówczesną Europę i po krótkim życiu jednego tylko pokolenia przygasał i wrócił do cichego stanu.

Przodkowie tego rodu od wieków krajali żyzne niwy sandomierskie, dumali tylko nad resztą braci szlachty wyrastając, boć nie darmo pieczętowali się odwiecznym Toporem, a uważali się za boczną gałąź możnego rodu panów na Tęczyźnie.

Bolesnie też dotknął ich Paprocki, pisząc w swym „Gnieździe cnoty“, że protoplastą tego rodu był młynarz, nobilitowany przez Leszka IV; oburzenie dumnych sandomierskich Toporeczników

było wielkie, a biedny heraldyk musiał odwołać tę wersję i inną, znacznie wspanialszą wyprowadzić parantele.

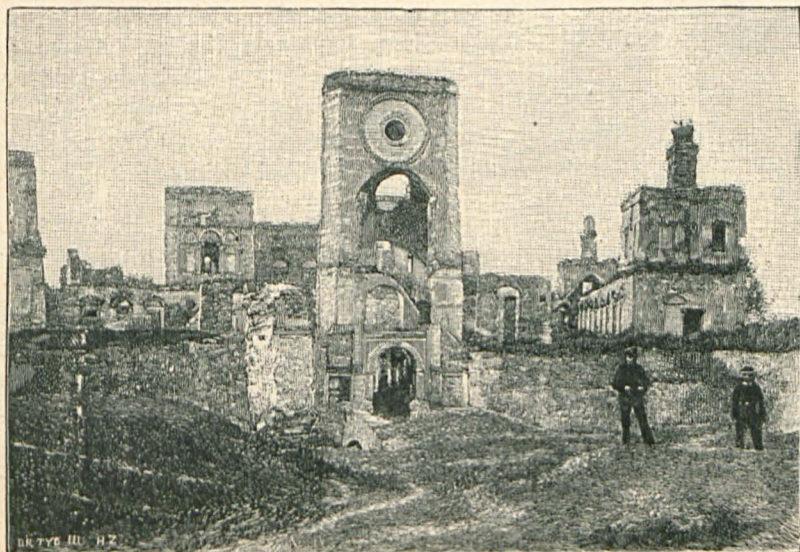
Musiał więc to być już bardzo możny ród, skoro Paprocki, bojąc się narazić go sobie, tak potulnie swą pracę przerobił. Rzeczywiście też, Paweł Ossoliński, podług tegoż Paprockiego—„człek roztropny i mężny“ w drugiej połowie XVI wieku zasiadł na senatorskim krześle kasztelanii sandomierskiej; a z dobytku swego wystawił stukonną chorągiew do obrony granic podczas bezkrólewia po Zygmuncie Auguście.

Dalej poszedł syn jego, Zbigniew, który dzierżył wojewodzińską godność sandomierską. Spokrewnił się on z pierwszymi rodami Rzeczypospolitej i stał się żarliwym obrońcą magnackiej samowoli. Choć osobiście przywiązany do Batorego, zapłonął jednak nienawiścią do króla i Zamojskiego po kaźni Samuela Zborowskiego, który był je-

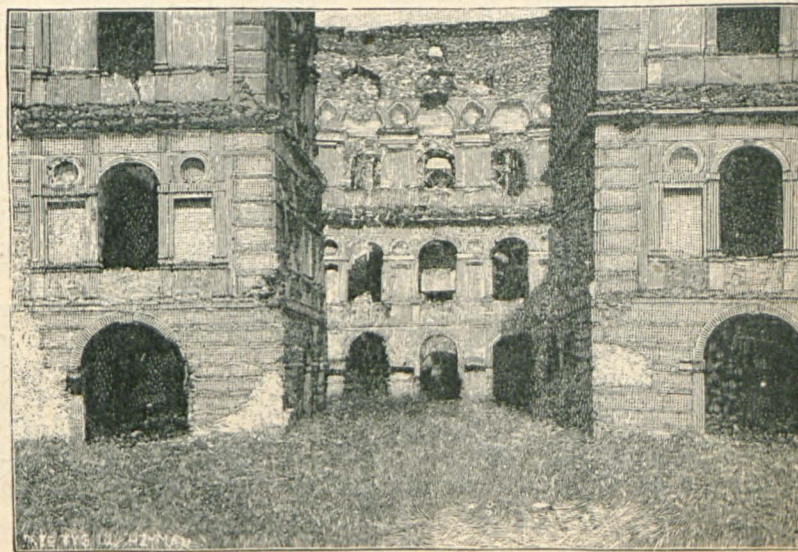
go wujem. Na sejmie w r. 1584, Ossolińskiego obrano na marszałka, i wtedy, zagajając sejm, wystąpił z tak zuchwałą i namiętną mową przeciw kanclerzowi, że obrażony król porwał się z tronu i chwycił za szablę, aby ukarać śmiałka.

Za to katolicka żarliwość wojewody hojnie nagrodzoną była przez Zygmunta III: bogate starostwa i darowizny płynęły na niego z ręki królewskiej, i rósł wojewoda w dostatki, znaczenie i wpływy, co posłużyło mu do wysokiego promowania dzieci.

Z pomiędzy kilku braci wojewodzieców, największej sławy dorobił się Jerzy, kanclerz w. koronny, którego sławne poselstwa do Rzymu, Londynu, Paryża, Wenecji i Ratyzbony głośne są w historii, a wiekopomny wjazd jego do Rzymu na koniach podkutych złotymi podkowami—pono dotychczas w opowiadaniach ludu rzymskiego się przechowuje.



Brama wjazdowa do zamku Krzyżtoporskiego.



Zamek Krzyżtopórski: Fasada główna.

W rodzinnem swem gnieździe Ossolinie, kanclerz wystawił wspaniały zamek, budując go „na wieczność,” ozdobiony bowiem podwójnym tytułem książęcym z rąk papieża i cesarza, musiał odpowiednią tej godności stworzyć sobie rezydencję.

Nie tak szerokimi szlaki chodził starszy brat kanclerza Krzysztof, ten bowiem, posiadzący województwo sandomierskie, został na roli, a jednak дума jego nie mniejszą była od książęcej pychy kanclerza. Nie dorównał wojewoda bratu znaczeniem i dostojenstwem, ale postanowił go zaćmić wspaniałością siedziby. Nie pożałował Krzysztof skrzętnie zbieranego przez ojca grosza, hojnie darzył mistrzów sztuki i kosztem olbrzymiej na owe czasy kwoty 3½ miliona złotych, stworzył wspaniały gmach, zdumiewający nie tylko swoich, lecz i obcych.

Zamek stanął na gruntach wojewodzińskiej włości Ujazd pod Iwaniskami, o dwie mile od starożytnego grodu Opatowa, a 3 od Sandomierza. Według modnej naówczas gry wyrazów, od herbu i imienia założyciela otrzymał nazwę Krzyżtopor (Christophor). Najnowsze badania odkryły imię architekta, który stworzył plany tego prawdziwego arcydzieła późnego włoskiego renesansu. Był nim mianowicie Wawrzyniec Senes, rodem z włoskiej Szwajcaryi, ale osiadłszy od lat wielu w Polsce, a nawet ożeniony z Warszawianką Anną, córką pana Trepy, sławnego krawca. Pan Wawrzyniec na dobre zagłębił się w nową ojczyznę, nabył dwie kamienice w Krakowie, a być może, iż miał jaką posiadłość i w Warszawie. Było też z czego nabywać te domy, bo wojewoda żądał posłusznego wykonywania swych fantazji, ale płacił hojnie.

Marzeniem wojewody było stworzyć ósmy cud świata, zamek, w którym podział wszelki miał odpowiadać rachubie w roku. Miał więc zamek posiadać cztery baszty, t. j. tyle, ile kwartałów, sal wielkich miało być dwanaście, pokojów, jak tygodni 52, a okien, jak dni w roku 365. Słowem, chciał wojewoda stworzyć skamieniały rok, zakląć czas w wieczną nieruchomość, która po długie lata miała słać imię Ossolińskich. Posłuszny mistrz Senes rączy wziął się do dzieła. W r. 1633 rozpoczęto roboty, a w 1644 zamek był ukończony.

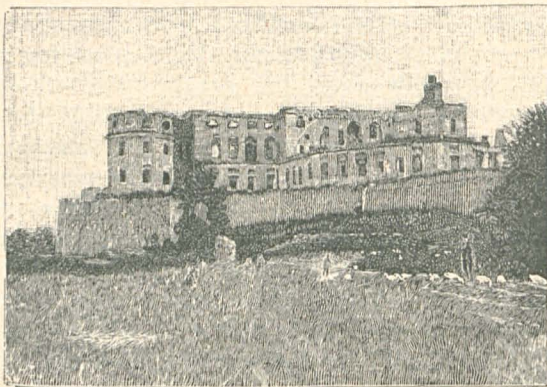
Na gliniasto-piaszczystej równinie, lekko połaśdowanej małymi wzniesieniami, wybrano miejsce, gdzie pochyłość wzgórza lekko spada ku północy. Sztuczne nasypy i podmurowania od tej strony stworzyły płaski taras, na którym rozparło się zamczysko. Taras ten ma kształt prawie regularnego pięciokąta, a północna jego strona, jak duży półwysp, sterczy wysoko ponad szmaragdową zielenią bujnych łąk, na których niegdyś rozciągały się wspaniałe ogrody zamkowe. Od południa taras ten wypada niżej od sąsiedniego wzgórka, z tego też powodu wykopano tu głęboką fosę, a przez nią na śmiałych arkadach rzucono most, prowadzący do bramy wjazdowej. Ta panuje wysoko ponad całą budowlą, a piękna marmurowa jej arkada gościnnie wita przechodnia, zapraszając do wnętrza. Olbrzymiej wielkości marmurowy krzyż po jednej, a topór po drugiej stronie, są godłami zamku Krzyżtopor, a nad bramą był niegdyś napis, którego obecnie niema ani śladu:

Krzyż obrona, krzyż podpora
Dziatki naszego Topora.

Gdy przez ową bramę wjazdową wejdziemy na wielki dziedziniec zamkowy, uderza nasze oczy frontowa fasada zamku niesłychanie piękna w swych obramieniach okien, czterolistnych medalionach górnego piętra i owalnej frontowej ścianie, pełna pięknych gzymsów, nisz, arkad, malowań i napisów.

Chlubą zamku, prócz jego architektury, była też i dekoracja malarska: cała frontowa fasada w niszach i medalionach obu pięter była zapełniona malowidłami, pełna figur alegorycznych, portretów i arabesków.

Duma wojewodzińska nie poprzestała na portretach antenatów w salach zamkowych, rzuciła



Zamek Krzyżtoporski od strony północno-zachodniej.

je i na zewnętrzne ściany, by snadź najmarniejszy widz, który do sal wejścia nie miał, mógł w dziedzińcu nadziwić się paranteli wojewodzińskiej.

Całe szeregi najwyższych w kraju postaci i imion zdobiły ściany tej fasady, a choć wojewoda skromnie niby pisze, że to w „honor domu ich,” jednak całe to dzieło technicznie bezgraniczną dumą wyniosłego możnowładcy. Dziś portrety zliżał czas, wilgoć i słońce, ale napisy jeszcze dobrze odczytać się dadzą, a są też one kopiowane w końcu XVIII wieku, gdy zwiedzający te ruiny Stanisław August „kazał sobie podać napisy tego domu.”

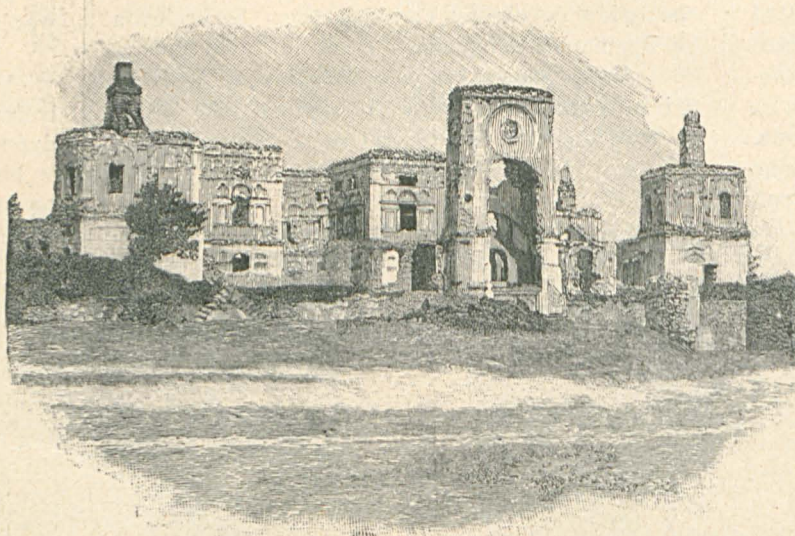
Napisy te widzimy w tej formie:

Janowi z Sienna Sienieńskiemu, wojewodzie podolskiemu oicu matki meji naimilszei 1600 w honor domu iego y pamięci.

Marcinowi z Rytwian Zborowskiemu kast. krak. prapradziadowi memu 1550 w honor domu iego y pamięci.

Krystynie Padniewski Hetmana Szczęsnego małżonce siostrzenicy Mathyasza króla węgierskiego nadbabie syna mego 1480 w honor domu iey y pamięci.

Annie z Morawice Thenczynskiej żonie Derśława Rytwińskiego wojewody sieradzkiego nad-



Zamek Krzyżtoporski od strony południowej.

babie moiej 1450 w honor domu iey y pamięci.

I tak ciągną się przez dwa piętra bracia i stryjowie, nadbabie, szwagrowie i prapradziadowie, a suną przed oczyma grzmiące nazwiska:

Moskorzewskich, Zebrzydawskich, Koniecpolskich, Łaskich, Kurozwęckich, Lanckorońskich, Lubomirskich, Ostrogów, Sobieskich, Oleśnickich, Radziwiłłów, Ligęzów, Sapiehów, Tarnowskich, Opalińskich, Tarłów, Firlejów, Chodkiewiczów, Kazanowskich, Leszczyńskich, Działyńskich, kniaziów

Wiśniowieckich, Ostrogskich i Koreckich. Wszystkich ich wojewoda w swem gnieździe umieścił w „honor domu ich”—to skromnie z jego strony, a na atyce nad drugim piętrzem fasady rzucił napis, daleki niby od samolubstwa:

„Oczywiście meji Polskiej, województwu sandomirskiemu braci meji milej w honor domu ich Krzysztoph na Tenczynie Ossolińskich wojewoda sandomirski wystawił 1644.”

Na czterech rogach wyniosłe baszty dźwigały figury alegoryczne, w baszcie północnej sufit był szklany, wodę rurami tam prowadzono, a złote rybki i dziwy morskie nad głowami gości swobodnie pływały; wszędzie złoto, malowidła i marmury, nawet żłoby w stajniach były marmurowe.

Tak wspaniała, królewska prawie rezydencja musiała wprawiać w zdumienie widzów. Dziwili się też zapewne liczni krewni właściciela, dziwiła się i brać szlachta tym gmachom, „w honor domu ich” postawionym, dziwili się też i obcy, bo Sandrart w „Des Königreichs Polen Beschreibung” w 1687 pisze, że „z wielu zamków w Polsce istniejących, Krzyżtopór jest najpiękniejszym, gdyż lubo Rzemień bardzo warowny, Wiewiórka rozkoszna, a Baranów nader piękny, Krzyżtopór jednak przewyższa je wszystkie,” a Puffendorf w swem „De rebus a Carolo Gustavo Sveciae regis gestis” nazywa go „fortissima et elegantissima arx.”

W rok po ukończeniu owego cudu budownictwa zmarł wojewoda z gorączki, gdy jechał na sejm, i może los uczynił lepiej, zabierając go ze świata, bo w 10 lat później, w 1655 roku, po tak krótkiej egzystencji, owo ukochane dzieło wojewody, jego skamieniały rok, padł pod ciosami wandaliskich najeźdźców.

Wiadomo w całej Polsce, jakie to były owe wiekopomne dzieła Karola Gustawa: to mord, pożoga i ruina. „Fortissima arx” nie wytrzymała najazdu szwedzkiego. Przepych urządzenia zamku był dla niego wyrokiem zagłady; złupiony do szczytu i spalony, odrazu stanął w ruinie. Imię Ossolińskich skazane zostało na zagładę; jedyni synowie kanclerza i wojewody zmarli bezdzietnie w młodym wieku, dziedziczne włości poszły po kądzieli w obce rody, owe z taką pychą wznoszone siedziby padły bezpowrotnie w ruinę, a po wielkim kanclerzu i jego dumnym bracie nawet kamieni grobowych nie pozostało „w honor domu ich.”

Jedno skrzydło Krzyżtopora trzymało się wprawdzie dłużej, ale i ono w perzynę poszło podczas konfederacji Barskiej. Dziś zamek, jak w dyaryuszu podróży Stanisława Augusta powiedziano: „w gruzach nawet swoich wielkość starożytnych Polaków przypomina.” Ale przy całym swym ogromie budzi bolesne wrażenia upadłego, bezlitośnie pokaleczonego olbrzyma. Ta brama wjazdowa, gdzie Krzyż wyciąga bezsilne ramiona, a obok dumny topór grozi swem stępiałem i poszczerbionem ostrzem, beznadziejnie patrzy wylupionem okiem swego okna w dal na rozległe pagórki.

Mimowoli staje tu na myśli ten cudny sonet Mickiewiczowski:

Te zamki, połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny

[Krymie!

Dzisiaj sterczą na górach, jak czaszki olbrzymie;
W nich gad mieszka, lub człowiek podlejszy od

[gadu.

Szczeblujmy na wieżycę. Szukam herbów śladu;
Jest i napis: tu może bohatera imię,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drżmie,
Obwinione jak robak liściem winogrodu...

W samych ruinach zamku tylko jaskółki i bociany, nietoperze i sowy obrały sobie mieszkanie,

u stóp jego nie gady, lecz poczciwi gościnni Sandomierzacy rozstawili swe chaty, których słomiane dachy tulą się do murów zamkowych. Z zamku rozciąga się malowniczy widok na okolicę; zwłaszcza z północnej strony widać sąsiednie miasteczko Iwaniska, szosę do Opatowa i prześliczne aleje lipowe, prowadzące do wsi Ujazd, a sadzone przez dawnych właścicieli tej włości Paców.

Droga do Ujazdu z Warszawy zabiera czasu: kolejną Nadwiślańską na Iwangród, potem Iwangrodzką na Bzin (Skarżysko) do Ostrowca godzin 10½ (od 10. 42 w. do 9.05 rano), z Ostrowca do Opatowa koniami 2 godziny, z Opatowa do Ujazdu 1½ g. Cała droga szosą, tylko od szosy idącej z Opatowa do Iwanisk, skręca się w bok na lewo 3 wiorsty ślicznej drogi przez owe lipowe aleje. Koszta wynoszą najtaniej: bilet powrotny do Radomia III kl. 2 rub. 40 kop., z Radomia do Ostrowca w jedną stronę 1 rub. 17 kop. Konie z Ostrowca do Opatowa 1 rub. 20 kop., z Opatowa do Ujazdu i z powrotem 1 rub. 50 kop. W Opatowie obiad można dostać w Hotelu Warszawskim, lub zajęździe Sandomierskim, a warto przytem zwiedzić to miasto, zwłaszcza zaś słynny renesansowy nagrobek kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego w kolegiacie.

Bardzo ciekawą i wyczerpującą wiadomość o zamku Krzyżtoporze pomieścił p. Stanisław Tomkowicz w „Sprawozdaniach Komisji do badania historii sztuki w Polsce“ (tom V, zeszyt IV), wydawanych kosztem Akademii Jagiellońskiej. Doprawdy żałować należy, że „Sprawozdania“ te tak mało u nas są poczytne, a przecież zawierają one nadzwyczaj ciekawe i przez najlepszych znawców opracowane studia nad zabytkami naszej sztuki.

AL. JANOWSKI.

Nasze ryciny.

Zygmunt Ajdukiewicz: Handlarze kaukaski.
Obraz wystawia dwóch handlarzy ormiańskich,

którzy, nie szczędząc trudów, wędrują dla zarobku po spadzistych dróżkach górskich Kaukazu. Worek takiego handlarza zawiera wszystko, co może mieć powab dla półdzikiego górala kaukaskiego, a więc przede wszystkim broń, kindżały, szable, pistolety pięknie inkrustowane, następnie odzież, tkaniny jedwabne dla kobiet, biżuterie i t. p. Rzemiosło handlowe na Kaukazie nie należy do bezpiecznych, ale Armeńczycy odznaczają się takim sprytem, że dają sobie radę z burzliwą klientelą lepiej od współzawodniczących z nimi Greków lewantyńskich.

Józef Czajkowski: Żyd na cmentarzu. Jest to obraz nastrojowy, w którym główną rolę odgrywa pejzaż, wyobrażający cmentarz żydowski, oświetlony promieniami słońca, przedzierającymi się przez liście drzew. W głębi—postać starca, pogrążonego w zadumie i dostrojonego w charakterze do wyrazu kompozycji.

L. Marold: Wizyta. Zgasły przedwcześnie artysta czeski, Ludwik Marold umiał z nieporównanym wdziękiem odtwarzać sceny z życia salowego. Na rysunku, którego reprodukcję podajemy w numerze obecnym, artysta przedstawił „Wizytę.“ Młody elegant, ubrany według ostatniej mody, rozmawia z kobietą, która bawi się z dzieckiem. Treść „literacka“ obrazu jest nikła, ale za to wykonanie odznacza się taką subtelnością, że zwykła codzienna banalna scenka życiowa zmieniła się pod ołówkiem mistrza czeskiego w prawdziwy poemacik. Ruch i fizygonie figur, draperya niemalowniczey odzieży współczesnej, cały układ sceny, wszystko to technicznie nie tylko prawdą, lecz jakimś niewysłowionym czarem. Czuć tu, że jeżeli scena sama przez się jest banalna, to ten, który ją odtwarzał, nie był banalnym talentem i umysłem.

A. Salinas: Przy studni w Wenecji. Wenecja, wskutek specjalnego położenia, posiada zarówno w topografii miasta, jak i w jego życiu,

wiele cech tylko sobie właściwych. Prócz znanych powszechnie kanałów i uliczek, istnieje w tem nadmorskiem mieście mnóstwo małych placzków, na których zwykle znajdują się studnie, ocembrowane marmurem. Przy studniach tych zbiera się ludność, a zwłaszcza młode dziewczęta na pogawędkę. Jest to zjawisko niegdyś dosyć powszechne we wszystkich miastach, a znikające powoli, dzięki zaprowadzeniu wodociągów. W Wenecji istnieją wprawdzie dzisiaj wodociągi, ale mimo to zwyczaj zbierania się przy studni pozostał. Jeden z takich kącików „królowej Adryatyki“ wyobraził nam malarz, starając się o wierne odtworzenie architektury i charakterystyki typów.

K. Pułaski: Forpoczty. Charakterystykę talentu znanego batalisty dawaliśmy już kilkakrotnie, nie powtarzając więc tego, cośmy mówili, zaznaczmy, że obraz, którego reprodukcję dajemy obecnie, posiada wszystkie zalety, właściwe kompozycjom Puławskiego. Na rysunku widzimy grupę jeźdźców, przesuującą się przez lasy w celu zbadania pozycji nieprzyjacielskich. Ruch koni i charakter jeźdźców są oddane w właściwą artyście brawurą.

Od administracyi.

Pomimo ogłoszonych parokrotnie zastrzeżeń, ekspedycja miejska otrzymuje reklamacje o niedostarczenie N-rów „Tygodnika ilustrowanego“ po miesiącu i później nawet (np. o N-r 7) Uprzedzamy zatem ponownie, iż zażalenia będziemy uwzględniali tylko w kilkudni po wyjściu danego N-ru lub książki, gdyż tylko w ten sposób będziemy w możności sprawdzić niedokładność.

Kronika powszechna.

Polityka.

Z chwilą zdobycia Pekinu przez wojska związkowe nastąpiła przerwa w operacjach militarnych, a polityczna strona kwestyi chińskiej wiele nie poruszyła się naprzód. Okazało się, że cesarzowa regentka i ks. Tuan umknęli z Pekinu przed wkroczeniem wojsk cudzoziemskich, zabrawszy z sobą

i cesarza. Obecnie przeto nie istnieje żaden rząd chiński, w Pekinie zaś sprawuje administrację komitet wojskowy, złożony z oficerów wszystkich państw, uczestniczących w kampanii. W tym stanie rzeczy niema z kim prowadzić układów. Wprawdzie Li-Hung-Czang narzuca się mocarstwom z układami, ale jego pełnomocnictwa

są wątpliwe. Tymczasem zaczynają się ukazywać wieści o zamiarach, jakie między gabinetami mocarstw są podobno dyskutowane. Słychać mianowicie, że państwa zgodziły się na dwa punkty w sprawie ostatecznego uregulowania kwestyi chińskiej. Punkty te są: zachowanie nienaruszalności państwa chińskiego

i utrzymanie dynastyi mandżurskiej, gdyż wprowadzenie nowej dynastyi wywołałoby dziś ciężkie walki wewnętrzne w Chinach. Li-hung-czang odbywał ostatnimi czasy codziennie konferencje z zagranicznymi konsułami z Szangaju. Konsulowie oświadczyli mu imieniem mocarstw, że wskutek ucieczki cesarzowej-regentki, głośno



Ćwiczenia w obozie Woosang koło Szangaju.



Armia chińska.

Spoczynek (na ziemi leżą zwinięte sztandary).

jego mandat do przeprowadzenia rokowań pokojowych. Według innej wersji, dyskutowany obecnie pomiędzy mocarstwami plan dalszego postępowania wobec Chin, zawiera następujące punkty: 1) Surowe ukaranie Thuana, Li-ping-henga i wszystkich członków Tsung-li-jamenu, którzy współdziałali z bokserami; 2) zupełne usunięcie od

świadczy „dobrze“ o charakterze bezimiennego autora i o redakcyi pisma, które podobny paszkwil wydrukowało). Figiel literacki, czyli „powtórzenie swojemi słowami;“ „Hipotezy w dziejopisarstwie“ przez dr. L. Gumpłowicza. — *Niwa Polska*: „Kult zmysłów“, przez S. K.; „Państwo i służba domowa.“

Konkurs.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości artystów, iż stosownie do § 1 regulaminu konkursów Towarzystwa, w miesiącu lutym r. 1901 odbędzie się Wystawa konkursowa architektury. Na konkurs kwalifikują się wszelkiego rodzaju kompozycje, w zakres budownictwa wchodzące, w szkicach, projektach, modelach, a także fotografiach dzieł wyborowych. Nie kwalifikują się na wystawę wszelkie kopie i prace osób zmarłych. Za dzieła konkursowe, mające istotną wartość artystyczną,

ski Obuchow. Rzecz bardzo zwykła w owe czasy, ale... dziewczyna utopiła się, a „dumny Polak“, jak nazywa Czernihowskiego inny historyk, J. Moskwini („Wojewodowie i naczelnicy m. Jakucka, oraz ich czyny“, r. 1863), dowiedziawszy się o przyczynie jej śmierci, napadł z towarzyszami na wojewodę i zabił go w pobliżu Kireńska, poczem uciekł nad granicę Chin, odbudował zburzoną przez krajowców twierdzę Albazyn na Amurem i zaczął zwalczać i rabować lenne Chinom plemiona. W 1688 r. armia chińska obiegła Albazyn i wzięła go szturmem po długim i zaciętym oporze. Jeńcy, w liczbie kilkuset, byli odesłani do Pekinu, gdzie cesarz chiński, uderzony ich niezwykłym męstwem i wojowniczą powierzchownością, kazał ich zaliczyć do swej przyboecznej gwardyi. Wyznaczono im północno-wschodni kąt mandżurskiego miasta. Albazyńczycy przyjęli zarazem zwyczaj, mowę i cywilizację chińską, a przez krzyżowanie z chińskimi kobietami zleli się nawet zupełnie w powierzchowności z otoczeniem. W liczbie jeńców przybył jednak razem z nimi prawosławny paroch, i oni pozostali chrześcijanami. W 1715 r. zwrócił się bogdychan do rządu rosyjskiego z prośbą o wysłanie duchownego dla prawosławnych poddanych jego gwardyi. Od tej pory, z początku co lat 20, a następnie co lat 10, był wysyłany do Pekinu z osobnym poselstwem archimandryta, duchowny wraz z klerem. J. Kowalewski, słynny synolog, przyjaciel Mickiewicza, odbył podróż do Chin właśnie w takim poselstwie. Pekin był wówczas jeszcze zamknięty dla Europejczyków, ale Kowalewski dla wiedzy swej i prac nad chińskim językiem przyjęty do korporacji chińskich uczonych, obdarzony został dyplomem mandaryna wysokiego urzędu. Historya Albazyńczyków jest jednym z wielu przykładów istniejącej w Chinach tolerancji. Są tam setki sekt i wyznań. Każdy modli się do kogo chce i jak chce, przed nikim nie zdejmuje z tego rachunku. Rzezie chrześcijan mają polityczny, nie zaś religijny charakter. W każdym razie jest to zjawisko czasów nowszych, gdy tymczasem ślady chrześcijaństwa u historyków chińskich sięgają VIII stulecia, kiedy jako nestorianizm było zniesione do Niebieskiego Państwa z północy i zachodu przez hordy tatarskie. W. Sieroszewski.

Osobiste.

Redaktor naszego pisma dr Józef Wolff przyjechał z zagranicy.

Kroniczka fotograficzna.

Jako dobry osłabiacz do silnie wywołanych negatywów, lub przeeksponowanych w pewnych miejscach tylko, można polecić nadsiarczany amonu (amonium persulfat.). Zwykły osłabiacz cyanowy osłabia klisze w całości, z tego powodu, osłabiając ciemne miejsca na kliszy, zatracamy szczegóły w miejscach przezroczystych. Osoby zdejmowane na tle łąk, drzew zielonych, ciemnych teli, ubrane w białe ubranie, wychodzą na kliszy przeeksponowane w postaci ciemnej plamy, gdy tymczasem tło wytrzymano dostatecznie lub słabo. 4% rozstwór nadsiarczany amonu w wo-

dzie ma tę własność, iż przedewszystkiem osłabia miejsca, najwięcej wyeksponowane na kliszy, t. j. nadmierne czarne. Doskonale więc można osłabić przeeksponowane przedmioty białe, wszelkie solaryzacje, nie zmniejszając siły tła ciemnego. Osłabiacz działa wolno i po upływie 2 minut za ledwie należyście uwidocznia się jego praca. Po doprowadzeniu negatywu do odpowiedniej siły i harmonii, zanurzyć go dla sfiksowania w roztwór siarkonu sodu (natrum sulphurosum) (1 : 8—10), następnie dobrze wymyć i wysuszyć.

Amplifikator Gerza. Gerz, znany optyk, rozpoczął wyrób amplifikatorów, czyli przyrządów do powiększeń, dających powiększenia z klisz od $4\frac{1}{2} \times 5$ do 9×12 ctm. Powiększać za pomocą odpowiedniej skali można 1, $1\frac{1}{2}$, 2, 3 i 5-krotnie. Do przyrządu dodaje się 5 odpowiednich obiektywów. Kształtem przyrządu Gerza przypomina zupełnie dawniej znane amplifikatory Gaumont'a. Największy format powiększenia 18×24 ctm., na papier, lub kliszę. Wł. K.

Zmarli.

Fryderyk Wilhelm Nietzsche, filozof, ur. 1844 w Rocken pod Lützen. Kształcił się w Bonn i Lipsku. W 1869 został profesorem filozofii klasycznej w Bazylei, ze stanowiska tego ustąpił w 1879 z powodu choroby nerwowej, która w r. 1889 w połączeniu z przepracowaniem i nadużyciem środków nasennych wpędziła go w obłąkanie. Od lat 10 przeto Nietzsche



Fryderyk Wilhelm Nietzsche.

rządu cesarzowej-wdowy i przywrócenie do władzy cesarza Kwang su; 3) czasowa okupacja Pekinu i niektórych innych miast, aż do chwili zupełnego uspokojenia kraju i wprowadzenia ładu. W tym samym celu cesarz podlegać ma przez pewien czas kontroli mocarstw. Tymczasem jednak cesarz Kwang su niewiedzą gdzie się znajduje. Podobno cały dwór uszedł do miasta Sianfu w prowincyi Szensi o 1,000 kilometrów w głąb kraju od Pekinu na zachód. Zdaje się przeto, iż sprawa nieprędko da się rozwiąć.

Z prasy polskiej.

Jak donosi *Gazeta Polska*, kierownictwo *Kraju*, z powodu wyjazdu redaktora tego pisma, przeszło czasowo w ręce p. Maryana Gawalewicza.—Ks. Hipolit Skimborowicz, dotychczasowy kierownik literacki *Kroniki Rodzinnej*, został zatwierdzony na stanowisku redaktora tego pisma.—*Prawda*: „Władysław Wisłocki“, przez Stanisława Krzemińskiego; Pamiętnik: „Kogucia Elegia“ (Słów kilka z powodu niesmacznego artykułu „Krytyki“ krakowskiej, w którym jakiś ambitny kogucik, mszcząc się widocznie za to, że pianie jego nie znalazło uznania w Warszawie, obrzuca błotem całą prasę naszą, oraz pojedynczych jej przedstawicieli. Robił to już w swoim czasie śmiesznej pamięci „Europejczyk.“ Bezimienny naśladowca tego zacnego męża przeszedł jednak swego mistrza, gdyż nie poprzestając na ocenie publicznej działalności literatów, wdziera się w ich stosunki domowe i rodzinne, zagląda do garderoby, alkowy, kuchni etc. Wszystko to

przeznaczone są dwie nagrody pieniężne: jedna rubli 400 i druga rubli 100. Deklaracje w formie zwyczajnej korespondencji pod adresem Komitetu Towarzystwa przysyłać należy przed 3 stycznia 1901 r. n. st. W deklaracji winna być zamieszczona treść dzieła, dokładny adres jej autora z krótką wiadomością, gdzie i kiedy się urodził, oraz w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne. Prace konkursowe nadesłane być winny do gmachu Towarzystwa (Królewska 17), najpóźniej do dnia 2 (15) stycznia 1901 r. do godziny 3 po południu. Koszt transportu dzieł konkursowych, zwyczajnym pościągami, nie przenoszącymi wagi 10 pudów, i opłatę cła od przysyłanych z za granicy, jeśli dzieła te będą przyjęte przez Cenzurę rządową i delegację Sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy konkursu na żądanie wysyła franco i wydaje na miejscu kancelarya Towarzystwa.

Albazyńczycy.

Poselstwo rosyjskie powstało w Chinach jako pierwsze poselstwo europejskie. Początek jego dziwnie płacze się z romantycznym wypadkiem, którego bohaterem był Polak. Historyk syberyjski, Johann Fischer („Historia Syberyi“ r. 1774, oraz „Podróż do Chin N. Spathuryusza w r. 1675“, str. 21), opowiada, że atamanem Kireńskiego ostrogu nad Leną był w 1665 r. polski czy też litewski awanturnik, dość, że katolik, niejaki Nicefor Czernihowski. Miał on ładną córkę, którą w jego nieobecności uwiódł wojewoda ilim-

przesłał żyć dla świata i wegetował, nie wiedząc nic, jaką rewolucję w umysłach młodzieży europejskiej wywołały jego dzieła, wśród których największą popularnością cieszyły się „Also sprach der Zarathustra“, „Jenseits von Gut und Böse“ i „Zur Genealogie der Moral.“ Obszerniejszą charakterystykę filozofii Nietzschego, który szczylił się tem, że pochodzi ze szlachty polskiej i że temu zawdzięcza swój kult wybujałego indywidualizmu—podamy w jednym z najbliższych Nr. „Tygodnika.“

Sprostowanie.

W Nr 8-m naszego pisma z r. b. w „Kronice powszechnej.“ w rubryce „Członkowie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych na r. 1900.“ wydrukowano mylnie nazwisko: Kazim. Golecki, Mińska g., zamiast, jak powinno być: Kazim. Holecki, gub. Mińska.

Ćwiczenia włoskiej marynarki w Spezzii.

W prowincyi Genui znajduje się forteca morska pierwszego rzędu, Spezzia, nad wspaniałą zatoką, w której się odbywają ćwiczenia włoskiej marynarki wojennej. Dwa forty: Santa Maria i Santa Teresa, uzbrojone w baterie armat i moździerzy, bronią wstępu do zatoki. Ryciny nasze dają dokładne wyobrażenie o tych ćwiczeniach artylerii pobrzeżnych, w chwili kiedy ostrzeliwują pływającą tarczę. Armaty, używane w marynarce włoskiej, bywają wyrabiane po części w warsztatach Armstronga pod Neapolem, częścią w rządowej odlewni w Turynie, pancerników zaś dla pancerników floty dostarczają zakłady metalurgiczne w Terni. D.

Z literatur obcych.

Włoska.

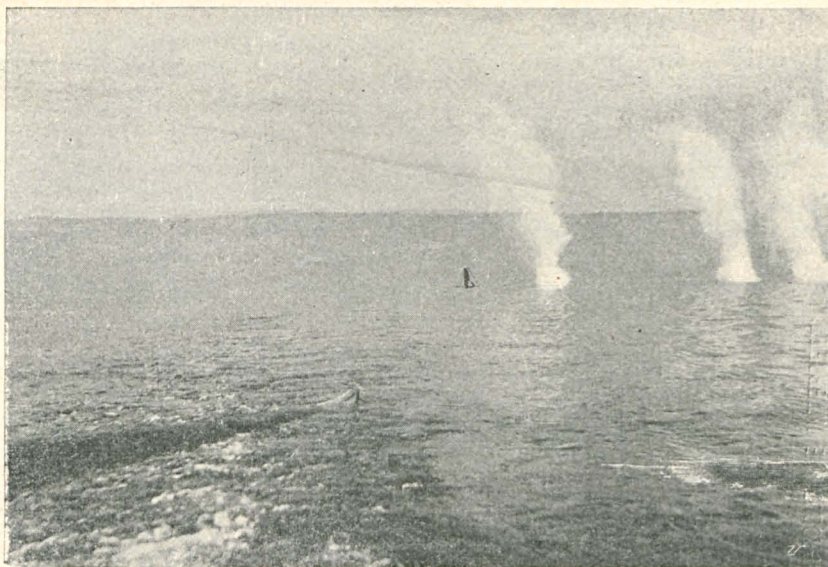
Gabryel d'Annunzio: *Ogień*. Romans ten, pierwszy z cyklu romansów „Granatu,” narobił wielkiej wrzawy i poza powodzeniem estetycznym, odniósł również wielki „sukces skandaliczny,” nie dlatego, żeby treść jego zawierała coś obrażającego przyzwoitość, lecz dlatego, że krytycy odnaleźli w tej powieści nie tylko zbyt wiele wynurzeń osobistych, graniczących z samochwalstwem, lecz, co gorsza, ponieważ zmuszeni byli zaprotestować przeciwko zbyt bezceremonialnemu wyzyskiwaniu prywatnych stosunków erotycznych dla celów twórczych. Zarzutom tym niepodobna odmówić słuszności. Rzeczywiście „Ogień” jest z jednej strony hymnem uwielbienia dla osoby autora, który występuje pod maską poety Stelia Effreny; z drugiej zaś zawiera bardzo szczegółowy opis stosunku miłosnego d'Annunzia do słynnej aktorki Eleonory Duse, noszącej w powieści imię Foscariny. Że pod pseudonimami tymi kryją się te właśnie, nie inne

osoby, widać aż nadto wyraźnie z całego toku opowiadania, z różnych aluzji osobistych, z cytów i odsyłaczy do opublikowanych poprzednio dzieł dramatycznych d'Annunzia, w których Duse grała role naczelnice i t. p. Wszystko to sprawia wrażenie niesmaku etycznego i rzuca niekorzystne światło na charakter autora. Swoją drogą jednak, książka rozpatrywana sama w sobie, nie jako spowiedź i pamiętnik, lecz jako dzieło sztuki, należy bez wątpienia do najwybitniejszych utworów beletrystycznych, chwili dzisiejszej. Przedewszystkiem autor nie traktuje ani siebie, ani swojej kochanki w sposób anegdotyczno-realistyczny, lecz owiewa cały ten stosunek jakąś atmosferą poetycznego symbolizmu. Effrena jest nie tylko d'Annunziem, lecz typem współczesnego poety, jak Foscarina jest nie tylko portretem Eleonory Duse, lecz typem dzisiejszej artystki scenicznej.

Prócz tego za tło opowiadania wzięł autor Wenecję, której urok i piękność odczuł i odtworzył w sposób nieporównany, genialny. Słynne opisy w bajronowskim Childe-Haroldzie, błędne wobec barwnych, wypukłych, a zarazem przeduchowionych obrazów królowej Adryatyki, kreślonych gorącym piórem włoskiego poety. Prawdziwą bohaterką powieści jest Wenecja. D'Annunzio zna i kocha ten klejnot królestwa Włoskiego, jak go chyba nikt przed nim nie znał i nie kochał. Bogata i barwna przeszłość miasta lagun, złała się w jego wyobraźni z melancholijną terażniejszością w jedną organiczną całość. Każdy pomnik, pałac, każdy niemal gzyms rzeźbiony, każdy zaułek przypomina mu legendy o dawnej świetności republiki, a każdy promień światła, drgający w falach kanału i ślizgający się po marmurowych koronkach fantastycznych pała-

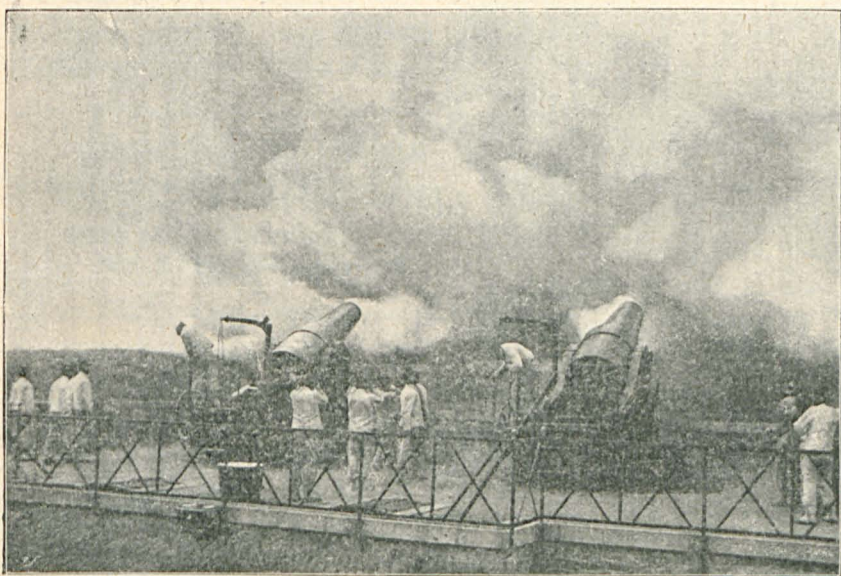
ców, nasuwa mu poetyczne refleksje i pobudza do liryczno-nastrojowych wynurzeń. Na tle estetyki Wenecji rozwija poeta swoją własną filozofię estetyczną nie tylko sztuki, lecz i życia, które także pojmuję jako sztukę. W filozofii tej odnajdujemy żywioły wagneryzmu i nieczekanizmu, ale zmodyfikowane i przystosowane do pojęć latyńskich, za których przedstawiciela d'Annunzio się oddawna uważał. Ideałem d'Annunzia jest nadezłowiek, ale nadezłowiek latyński, złagodzony, mniej brutalny i bezwzględny od „Uebermenscha” germańskiego. Przedewszystkiem G. d'Annunzio nie gardzi tłumem; przeciwnie, pragnie go podbić za pomocą sztuki. Marzy o zbudowaniu teatru, w którym dzieło, rozpoczęte przez „wielkiego barbarzyńcę,” Wagnera, doprowadzone, byłoby do końca. Wielka idea syntezy wszystkich sztuk, zapoczątkowana przez niemieckiego kompozytora, jest również ideą przewodnią estetyki d'Annunzia, który w dodatku uważa się za kontynuatora tragików greckich i pragnie zmodernizować starożytną tragedję fatalistyczną, oswobadzając człowieka z pod władzy losu. Intryga erotyczna stoi na planie dalszym i ściśle biorąc, nie jest wcale intrygą. W stosunku miłosnym Stelia Effreny i Foscariny nie się prawie zewnętrznie nie dzieje, cały dramat rozgrywa się we wnętrzu serca artystki, która, jako starsza wiekiem od kochanka, obawia się go utracić, a zarazem uważa za swój obowiązek usunąć mu się z drogi, żeby nie hamować swobodnego rozwoju indywidualności „nadezłowieka.” Niezależnie od zalet artystycznych, „Ogień” jest ciekawym dokumentem do psychologii epoki, daje bowiem wierny, a zarazem subtelny obraz prądów, nurtujących życie „arystokracji” duchowej naszego wieku. M.

—*



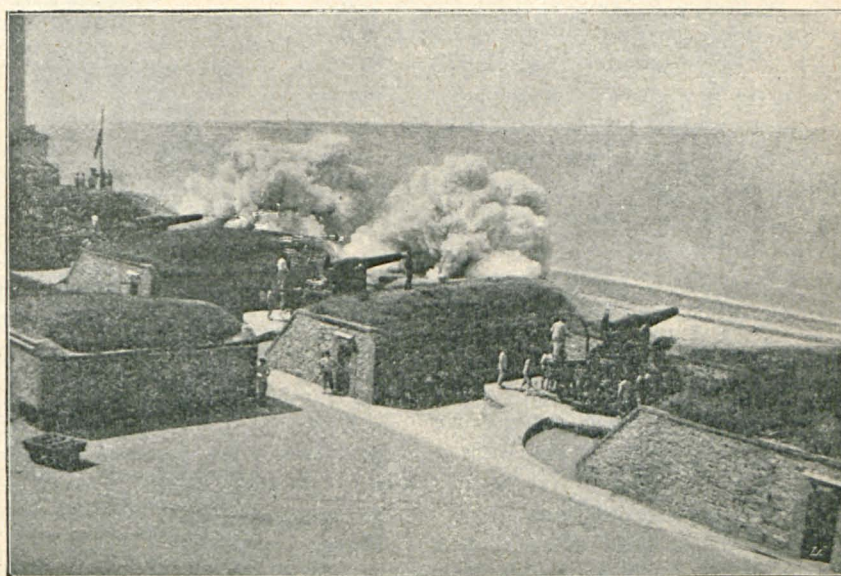
Pociski do celu ruchomego na morzu.

Z fotografii zdejmowanej na miejscu.



Próby strzałów z armat i moździerzy fortecznych.

Z fotografii zdejmowanej na miejscu.



Próba strzałów z wybrzeży morskich w Spezzii.

Z fotografii zdejmowanej na miejscu.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego.

Adam Stodor: *Adoracya. Poezye*. Lwów. Księgarnia polska, 1899.—„Mihi, musis et paucis amicis.” Taka dedykacya, umieszczona na nagłówku książki, powinna właściwie uwolnić literaturę od krytyki utworów p. Adama Stodora; o muzach

bo wiemy tylko z mitów, a być przyjacielem autora nie danem nam jest. Skoro jednak sam autor wyraźnie żąda „oceny” własnej „Adoracyi,” przeto radzi nieradzi zadość czynimy. — Więc młody poeta—tak? Młody—to wszystko powinno być dla poety. Młody, więc niesie z sobą świeże, jeszcze dotychczas niewidziane światy; młody, więc indywidualność rogata, arbitralna, cała w jar-

kiej barwie od krwi i zapалу... Młody poeta! Boże, toż to święto narodowe!...—No tak, ale żeby ich mniej było, tych „świąt narodowych...” —Więc któż jest pan Stodor?...—Dzieło najlepiej mówi za mistrza. Roztwieramy kartki. Przedewszystkiem autor adoracyi własnej z całą stanowczością utrzymuje, że jest orłem. Orłem „z złamanymi loty.” Takich orłów było więcej. Cóż dalej? Oczywiście

Mileżąca moja dusza
Mknie do gwiazdzistych sfer,
W górę nad jestestw byt,
Nad ból i walki zgrzyt,
Nad tłum, którym porusza
Myśl, jak pochwycić żer...

Tłum musi być, to należy do pewnego rodzaju przyzwoitości. Przeciwstawieniem do marnego tłumy: kto? Naturalnie p. Stodor:

Potężny i szalony,
Do górnych zdolny jazd..

Załatwiwszy się ze świadomością własnej wielkości, „potężny i szalony“ p. Stodor wybucha ironią:

Cierniami krwawych róż
Uwieńczę cię, poeto.

A kiedy uśniesz, brać
Nad grobem cię pochwali,
Żeś umiał wzniośle grać,
Że zawsze cię kochali,
I choć tyś gorycz pił:
Poeta to natchniony...

Jeżeli tak powiedzą, niech im Bóg nie pamięta—bo można z góry zaręczyć p. Stodorowi, że jest tylko poetą nauczonym na niezbyt lepszych od swoich wzorach, i równie bez powodu i celu jak tamci, rozrzucający wśród marnego tłumy brylanty tęsknoty wieszczey. Co do tęsknoty, to wszyscy poeci tej miary i zamiłowania, co p. Stodor, na drzwiach swojego domostwa powinni wypisać ku pamięci słowa Szamana, powiedziane do Anhellego: „Dwie są bowiem melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości, pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.“ Roztęskniona melancholia Byrona rozszatanila się w kaskadę najrozpaczniejszego śmiechu; tęsknota Słowackiego powiodła go „tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie“, rozwinęła przed jego tęskniącym bólem najciemniejsze, najbardziej nieodgadnione wizje anielskie, rozwiązały się tu na ziemi w tysiącznych kształtach obrazów twórczych. Należy jeszcze raz powtórzyć ten niezbędny dodatek: *twórczych*. A pan Stodor i innych wielu? Oni nam się tylko przysięgają, że tęsknią jak orły, a ta melancholia wiedzie ich najwyżej do pomysłu wydania tomiku adoracyi własnej z pretensjonalną i bez smaku rysowaną winietką. W Polsce każdy powiat ma dwóch, trzech, jeżeli nie więcej poetów, nie gorszych od autora „Adoracyi“. Zawziętość twórczą wyładowują jednak najwyżej w okazyach imieninowych toastów, albo ślubnych uroczystości u milego sąsiada i krewniaka, a o wydawaniu tomików nawet nie pomysła. Należy naśladować taką powściągliwość. Pan Stodor jest zapewne człowiekiem rozumnym i inteligentnym, dziwnie więc doprawdy, że przed wydaniem „Adoracyi“ nie wpadł na myśl, iż jego utwory zgola nie posiadają talentu.

S.

Al. Janowski: *Wycieczki po kraju*—W pięknym wydaniu wyszedł z druku drugi z rzędu tom „Wycieczek po kraju“ p. Al. Janowskiego. Wydawnictwo to traktowane jest starannie pod każdym względem, że tylko słowami uznania szczerzego możemy je polecić uwadze czytelników. P. Janowski przedsięwziął rzecz trudną: wypełnić lukę w naszym piśmiennictwie i stworzyć szereg podręczników, któreby ułatwiały nam gruntowne poznanie kraju własnego. Zarówno tom pierwszy, jak i obecny—drugi „Wycieczek“, wykazuje sumienność autora. Tom niniejszy zawiera opis wycieczek w Sandomierskie, a więc: Opatów, Ujazd,

Klimontów, Ossolin i Sandomierz. Książka nadto opatrzona jest mapą szczegółową dróg i gościńców.

Edward Trojan: *Gniew Boży*.—Jest to powieść dla ludu z tendencją moralną. Należy do szeregu wydawnictw ks. M. Godlewskiego.

Przewodnik po zdrojowiskach, miejscach kąpielowych i stacyach klimatycznych.—Na bardzo dobry pomysł wpadła apteka Fr. Karpińskiego, wydając swoim nakładem niniejszą książkę. Zawiera ona opis fachowy wszystkich uzdrowisk europejskich, z treściami i dokładnymi wskazówkami, dotyczącymi warunków leczniczych danej miejscowości. Oczywiście, uzdrowiska krajowe zajmują tu miejsce poczesne.

Ks. dr Teofil Kowalski: *Różaniec ku czci Najświętszej Niepokalanej Maryi Panny*.—Autor, wzięwszy melodię różańca powszechnie używaną, zharmonizował ją i ułożył do śpiewu. Byłoby bardzo do życzenia, aby teksty wszystkich śpiewów religijnych w ten sposób ułożono i zharmonizowano; ustrzegłoby to wiele pieśni od skażenia.



ODPOWIEDZI.



Prenumeratorowi z Wilczej. W takim razie wierzymy na słowo swoim prenumeratom—bez dowodów. Przy liście do oceny grafologicznej trzeba złożyć ofiarę na Kasę literacką—najmniej 25 kop. Zwracamy uwagę na odezwe Redakcyi przy odpowiedziach grafologicznych.

W. ks. R. w Lubni. Program był ogłoszony dawniej. Obecnie warunki się zmieniły, i będzie dany cały komplet, nie wyłączając tych innych większych powieści. Ogłoszenia będą zrobione we właściwym czasie. Może Sz. ks. Dobrodziej zakomunikować o tem osobom interesowanym.

Rędzi. W połowie sierpnia st. stylu.



Od redakcyi.



Każdy prenumerator „Tygodnika Ilustrowanego“ w r. b. 1900 otrzymuje

bez żadnej dopłaty co miesiąc tom

Dzieł H. Sienkiewicza,

czyli rocznie 12 tomów.

Na oprawę 12-tu tomów Sienkiewicza w roku bieżącym dołączać należy rs. 2; w tym stosunku oprawa 6 tomów kosztuje rs. 1, oprawa 3 tomów 50 kop.

Cena ozdobnej okładki na komplet półroczny „Tygodnika Ilustrowanego“ rub. 1, przesyłka okładki kop. 35, przesyłka 2 okładek kop. 50. (1 złr. 90 ct., z przesyłką 2 złr. 10 ct.).

Ze względu na wielką liczbę zapotrzebowania na oprawne egzemplarze dzieł Sienkiewicza, prosimy, dla unormowania nakładu, o wczesne nadsyłanie tych zamówień, ażebyśmy odpowiednią liczbę opraw przygotować mogli.



Kwartał I-szy Tygodnika ilustrowanego na rok bieżący jest zupełnie wyczerpany. Prenumeratorowie od II kwartału mogą nabywać 3 pierwsze tomy Sienkiewicza z r. b. (t. 13, 14 i 15) za dopłatą rs. 1 kop. 50, lub rs. 2 za też tomy w oprawie.

NADESŁANE.

WYDAWNICTWA

⇒ GEBETHNERA i WOLFFA

NOWE POWIEŚCI:

AER. Złudzenia, Rub. 1.35.
BAŁUCKI. Pamiętnik Munia, Rub. 1.20.
GLIŃSKI. Krzywdy, Rub. 1.50.
— Wróci, Rub. 1.20.
GRUSZECKI. Dla Miliona, Rub. 1.20.
— Hutnik, kop. 80.
— Krety, wyd. 2-gie, Rub. 1.50.
— Tuzy, Rub. 1.20.
JELEŃSKA. Panienska, 2 t. Rub. 2.
JESKE-CHOŃSKI. Ostatni Rzymianin, 2 t. R. 2.40.
KOSIAKIEWICZ. „Hallali“, Rub. 1.20.
KRECHOWIECKI. Najmłodszy, 2 tomy, Rub. 2.
ŁOZIŃSKI. Zaklęty dwór, 2 tomy, kop. 80.
MARION. Miraze, Rub. 1.50.
NIEMOJEWSKI. Listy człowieka szalonego, R. 1.50.
ORKAN. Nowele, z przedm. Tetmajera, Rub. 1.
ORSYD. Za późno, Rub. 1.20.
ORZESZKOWA. Argonauci, 2 tomy, Rub. 2.
RADZIWIŁŁ MICHAŁ. Ojciec Remigi, kop. 60.
REYMONT. Fermenty, 2 tomy, Rub. 2.
— Komediantka, Rub. 1.50.
— Lili, Rub. 1. W oprawie 1.40.
— Spotkanie, Rub. 1.50.
— Ziemia obiecana, 2 tomy, Rub. 2.40.
RODZIEWICZ. Kądział, Rub. 1.20.
ROJAN. Lepsze czasy, Rub. 1.20.
SIEROSZEWSKI. Brzask, Rub. 1.40.
— Latorośle, Rub. 1.20. W opr. 1.60.
— Risztau, Rub. 1. 20.
STARZEŃSKI. Z gawęd starego myśliwca, R. 1.50.
TETMAJER. Anioł śmierci, 2 tomy, Rub. 2.
— Melancholia, Rub. 1. W opr. 1.40.
— Otchłań, Rub. 1. W oprawie 1.40.
WEYSSENHOF. Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego, wyd. 3, Rub. 1.50.
ŻEROMSKI. Ludzie bezdomni, 2 t., wyd. 2-gie, R. 2.

Album Sienkiewicza.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

Wydawnictwo jubileuszowe. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Henryka Sienkiewicza w 20 ilustracjach, wykonanych w heliograviurach, według rysunków: Brandta, Chelmońskiego, Kamińskiego, Kotarbińskiego, Pochwałskiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stachiewicza i Wodzinowskiego, ze wstępem krytycznym Stanisława hr. Tarnowskiego, oraz wyjątkami z dzieł Henryka Sienkiewicza. Wydanie wytworne na pięknym welinie in 4-to, w ozdobnej oprawie, rub. 8.

SKŁAD WIN I TOWARÓW KOLONIALNYCH

Telefonu „pod BACHUSEM“ Telefonu

Warszawa, Marszałkowska róg Widok.
(Wina firmy Maurycy Seydel i S-ka).

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla kobiet. Warszawa, Krak.-Przedmieście 17.

KURSY HANDLOWE ROCZNE

S. Rogulskiego

dla mężczyzn. Warszawa, Krak.-Przedm. 17.

